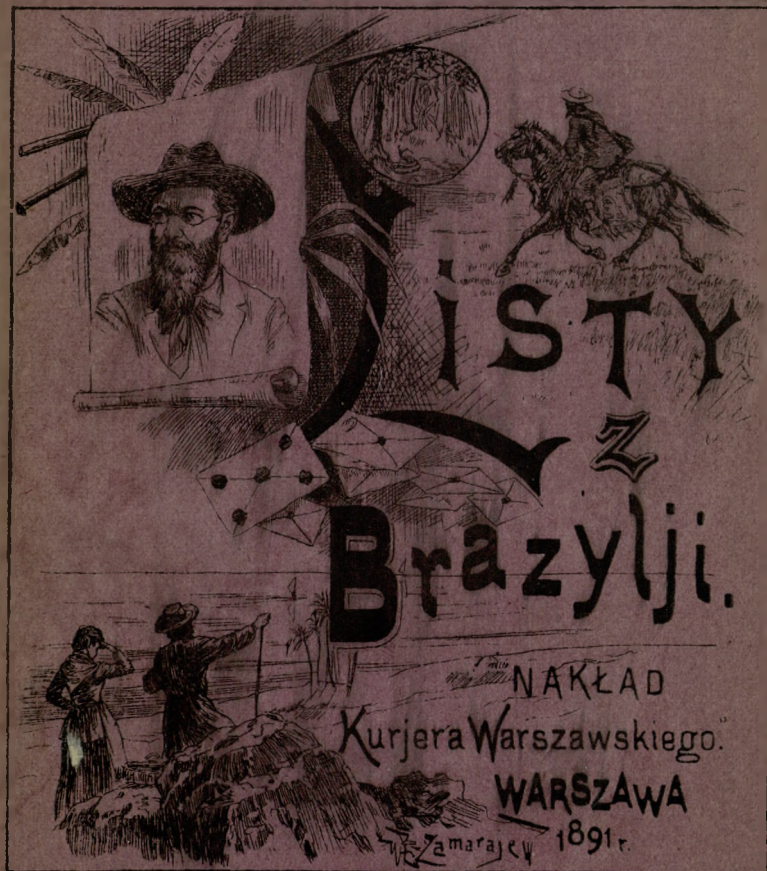


ADOLF PYGASIŃSKI.

Z KSIĘGOWNI

DR. WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO



Skład Główny w księgarni nakładowej

S. LEWENTALA

Nowy-Świat № 41.

K. 764

H 3413

PANSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE

BIBLIOTEKA

Inw. Nr. K 764

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

LISTY Z BRAZYLIJ.

IRYNA I N. YEL

LISTY Z BRAZYLII

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO

SPECYALNEGO DELEGATA „KURJERA WARSZAWSKIEGO“

WYDAWNICTWO

„Kurjera Warszawskiego“.



Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WARSZAWA.

NAKLAD „KURJERA WARSZAWSKIEGO“.

Skład główny

w Księgarni Nakładowej S. Lewentala, Nowy-Świat 41.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 25 Февраля 1891 года.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 764



1000000000076

Druk S. Lewentala, Nowy-Świat Nr 41.

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

W S T Ę P.

W Październiku roku zeszłego pojechałem był do Rybienka, gdzie mi w domu swoim dawno już ofiarował uprzejmie gościnność p. Kazimierz Skarzyński. Piękna miejscowość nad Bugiem stanowiła dla mnie dużą podniechęć w robocie literackiej: miałem przed oczyma nieustannie wstęgę Bugu, a za nią lasy i siola.

Odrązu więc zacząłem pilnie pracować. Ale zaledwie tydzień czasu upłynął, kiedy jednego dnia około godziny szóstej po południu otrzymuję taki telegram: „Wyjeżdżam z Warszawy wieczornym pociągiem i czekam pana w Tłuszczu—*Olszewski*.“

— Sąd honorowy, albo pojedynek! — pomyślałem. — Aby pracować i jednej pracy wyłącznie się oddać, trzeba widać o sto mil uciec od Warszawy!

Pan domu właśnie wyjechał konno na objazd gospodarstwa, a z agronomami jego nie poznałem się jeszcze tak blisko, ażeby móżdż prosić o konie. Wysłałem więc służącego na wieś po podwoję dla siebie. Nim posel ów powrócił, wybiła już siódma i dobry mrok panował, a tu do Tłuszcza haniebne trzy mile i przeprawa promem na Bugu.

Nie pojechałem przeto, lecz zaraz napisałem list do redaktora „*Kurjera Warszawskiego*“ :

„Jeżeli chodzi o sprawę bardzo ważną, przybędę do Warszawy; wasz telegram z Tłuszcza przybył tak późno, że się nie mogłem stawić.“

List ten natychmiast pchnąłem na pocztę do Wyszkowa, a sam siadłem znowu do roboty.

Kiedy wieczorem powrócił i p. Sk., dziwił się, że miałem jakieś skrupuły użyć jego

koni, a jednocześnie oświadczył, że dobrze zrobił, bo i najlepsze konie za ledwie na dziewiątą stanęły-by w Tuszczu, więc tam nie zastał-bym już pana O.

— Skoro się tak stało, — mówił dalej — to jedźmy w odwiedzinę do pana sędziego, gdzie sobie ułożymy polowanie w przyszłym tygodniu.

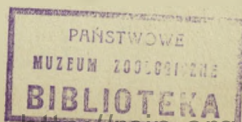
Pojechaliśmy. Znaleźliśmy tam dwóch jeszcze sąsiadów i na gawędzie o emigracji zeszło do pierwszej w nocy.

Gdyśmy wracali do domu, niebo się iskrzyło gwiazdami i mróz był jakby w Grudniu. Zajeżdżamy na dziedziniec, a tu dwór, mimo nieobecności pana, oświetlony.

— Może urzędnicy akcyzy! — poszepnął pan Sk.

— Kto wie, czy nie Olszewski! — mruknąłem.

Wchodzimy i oczom naszym przedstawia się odrazu redaktor „*Kurjera Warszawskiego*”; był błydy i skostniały od zimna, ponieważ w lekkim tylko okryciu wyjechał z Warszawy, a sądząc, że Rybienko jest



blizko od Tłuszcza, puścił się na najętą podróż w trzechmilogą podróż z całą lekko-
myślnością literata i mieszczucha.

Butelka gdańskiej wódki, druga czerwonego wina, za ledwie zdołały uśmierzyć szcękające zęby redaktora.

— Czy pan wieśz, — pytał mię po chwili p. O. — że w kraju naszym jest nadzwyczajnie wielki prąd emigracyjny?

— Wiem o tém aż nadto dobrze i właśnie dzisiaj przez cały wieczór prowadziliśmy rozmowę u sędziego G. na ten temat.

— A czybyś pan nie pojechał do Brazylii i nie sprawdził, co też za podstawę mają obietnice agentów, którzy chłopom przewracają w głowie?

— Nietylko się zgadzam na podróż, lecz dziękuję panu, że wybór padł na moją osobę. Mam wprowadzić bardzo mi cenne zobowiązania dla poważnej firmy wydawniczej; ale wyższy nad to jest obowiązek społeczny. Zresztą jestem pewny, że firma owa tak samo rzecz pojmuje i nie będzie mi brała za złe zwłoki 4-ch lub 5-u miesięcy.

— Panie, proszę o zachowanie tajemnicy wyjazdu!

Zawahałem się chwilę, bo jak tu pokazać się w Warszawie i kłamać wobec przyjaciół, a głównie rodziny. Jednakże pomyślałem, że można przyjaciół w tym razie unikać, a rodzinie oszczędzę jedynie troski przez jakiś tydzień, dopóki nie przyślę z zagranicy pierwszego listu.

W Rybieniu pan gospodarz zostawił nam całą swobodę dalszej rozmowy i udał się na spoczynek, a ja z p. redaktorem obgadywałem do świtu całe przedsięwzięcie.

Minęła czwarta godzina rano, a my jeszcze nie skończyliśmy rozmowy i daliśmy sobie *rendez-vous* w Warszawie.

Nareszcie ubrałem pana O. w swój kożuch, palto, czapkę zimową, rękawice i wyprawilem na pociąg do Tłuszcza.

Taka jest geneza mojej podróży do Brazylii.

Nie wyjechałem z Warszawy jako turysta-podróżnik ani literat, lecz jako obywatel kraju swego. Lekceważę wszelkie przekąsy

i drwiny, równie jak lekceważę rozgłos, nadany méj wyprawie. Mam przekonanie, że mało zrobił, lecz się *nie podejmowałem* niczego więcej. Jedni chcą odemnie jakiegoś statystyki, drugim nie na rękę to, że mało widział, inni utrzymują nawet, iż dużo pieniędzy zmarnowałem.

Moi panowie, jedźcie do Brazylii i wypełnijcie moje braki, a będzie to miało więcej wartości od waszych krzyków! Jak mi się zdaje, niczém a niczém nie dałem do zrozumienia, że mało zrobił rzecz wyższą od prostego obowiązku, dlatego się dziwię przekąsowi oraz niechęci: oby one pochodziły z pobudek szlachetnych!...

Musiało się coś głęboko zepsuć w „królestwie duńskim“, skoro tu na wszystko brakuje miary. W listach anonimowych, do mnie i do redakcyi pisanych, nazywają mnie blagierem, oszustem, łgarzem, ba, nawet zdrajcą; na ulicach pokazują mię palcami i obiecują kije — to tłum, któremu zaślepienie należy zawsze przebaczyć. Ale dlaczego czoło inteligencyi robi mi z je-

dnęj strony bezmyślną reklamę, a z drugiej szczybie?

Nie zadowolniłem więc *właściwie* nikogo: nawet Brazylian. Jest-to jedyny rezultat z mojej podróży.

Zagrody pod Chmielnikiem.

W Lutym 1891 r.

I.

W wagonie czwartej klasy.

W Toruniu wsiadłem do wagonu 4-jej klasy, udając się do Bremy; wagon taki jest to klatka 12 łokci długa, 4 szeroka; na ścianie napis opiewa: *Normale Besetzung: 30 Sitzplätze, 15 Stehplätze*; ale szranki przepisu przekraczają się i w wagonie naliczyłem 50 osób wraz z dziećmi. Pełno tutaj wilgoci, temperatura taka, jak w cieplarni dla roślin egzotycznych.

Widząc tyle drobiazgu ludzkiego, niemowląt przy piersiach matek, otrzymujesz wrażenie, że w tym gorącym dzieci samorzutnie się rodzą. Na podłodze wszędzie porozlewane jest mleko, woda, pełno okruszków chleba, kości, ściany zamazane masłem, miodem i Bóg wie czym. Na poręczy suszą się pieluchy i pierzynki z pod maleńkich dzieci; przytém aż

ciemno od dymu z fajek i papierosów. Tam niemowlę parotygodniowe leży na kolanach rozespanej matki, do połowy się już stoczyło, porusza tłustymi nóżkami i rączkami, a oczy nieruchome wlepia w światło lampy. Gdzieindziej, między worami, zapadłszy w głąb' głową, chrapie 5-cio lub 6-letni chłopiec. Dalej znowu matka, włożywszy dziecięciu pierś w usta, przytoczyła je całe swym ciężarem i sama zasypia w najlepsze.

Trzeba się poznać z sąsiadami. Obok mnie siedzi Wiśniewski, chłop z pod Rypina, z Rokitnicy; wyemigrował z żoną i czworgiem dzieci, z których najstarszy chłopiec, Teoś, jest 8-letni. Człowiek ten ma poczciwy wyraz twarzy, kocha dzieci i pieści się ciągle z nimi, szczególnie z najmłodszym jednorocznym synkiem, któremu do zabawy oddaje ciągle swoje fajkę.

Siedzę na środku wagonu, na stolku składanym, który sobie sprawilem w Toruniu, i mam po drugiej stronie za sąsiada rzemieślnika, Stanisława W., stolarza, który emigrował z młodą, może 18-letnią dziewczyną, Zofią Ł., pochodzącą z Paprot, gminy Żale, w powiecie rypińskim. Stolarz wypomina nazwiska wsi: Ugórz, Głębozec, Obory.

W dalszym ciągu jest rodzina żydowska z Drobi-na,—żydówka z Warszawy, która z czworgiem dzieci jedzie do męża, będącego już w Ameryce; następnie chłop z Kujaw w czarnej kamizelee, z pod któ-

ręj widać czerwone rękawy kaftana, a na głowie ma czarny kapelusz z dużym rondem; po-przez bagaże i worki nie mogę się przedostać do niego, jak i do innego jeszcze z siwą głową, który do nikogo nie zamówi słowem.

Noc ta dla mnie niezapomniana! Filozof, moralista mógł-by tu wyprowadzać ciekawe wnioski; ale artysta może tylko współczuć, wziąć do duszy cudze cierpienia, złudzenia i nadzieje.

Stolarz oparł się na ramieniu kochanki i drzemie. Dzieci Wiśniewskich śpią w różnych pozycjach: najmłodszy chłopiec przytula oto do piersi blaszankę od mleka. Stary Wiśniewski jest jakiś zamyślony: najeżył nikle wąsy, czoło mu się zmarszczyło, rozszerzyły się nozdrza, czarne ręce złożył na kolanach; może myśli nad tém, że wyprowadził w świat te dzieci, a Bóg wie, co się z nim i z niemi stanie. Czasem daje kulaka żonie, aby poprawiła śpiące dziecko. Żydowi z Drobiną sen nie idzie; waha się właśnie między Brazylią a Nowym Yorkiem.

— Bo trzy czy cztery tygodnie płynąć wodą po żółtą febrę, to strach; morska choroba, burze, a przytém ludzie mówią, że żydków rząd do Brazylii nie wpuszcza.

Stolarz się naraz porwał, klęknął na środku, zdjął czapkę, wyjął książkę do nabożeństwa i widzę, że czyta litanią do Matki Bożkiej. Jego ko-

chanka czy narzeczona, świeża, rumiana, odznacza się pełnią bielutkich zębów, które chętnie pokazuje, i blaskiem oczu, którei naiwnie rzuca na wszystkie strony.

Z latarką na piersiach, z kluczem w ręku wchodzi olbrzymi pruski konduktor i dobrodusznie pyta, rozglądając się po owym chlewiku:

— *Lebt hier alles?*

Nikt mu nie odpowiada. Nawiasem mówiąc, emigrantów bardzo źle wszyscy cudzoziemcy traktują.

Mam przed oczyma ciągle sceny karmienia i uspakajania rozplakanych dzieci; matki niekiedy je biją, to znowu dają piersi lub chleba z miodem. Na najbliższej stacyi wpada sześciu pijanych Niemców robotników, depcą po głowach śpiących dzieci i wybuchają wesolą piosnką, która dziwnie odbija wobec smutnych fizygnomij i modlitwy stolarza. Pragnienie w tym tłoku wszystkich pożera; ale nikt nie chce wyjść z dzbankiem po wodę, aby się nie spóźnić. Oprócz żydów i mnie, nikt też nie umie jednego słowa po niemiecku. Stary chłop z kosmykami długich, siwych włosów, z odętymi wargami, istny mruk, syngielton wśród emigrantów, pierwszy poszedł po wodę i napoił niektórych, nie mówiąc ani słowa.

W ogóle całe to towarzystwo wygląda tajemniczo, pełne podejrzliwości, i wszyscy niechętnie roz-

mawiają. Dopiero rozłożona przezemnie mapa kolei żelaznych zrobiła ogromne wrażenie. Zaraz się nachylił do mego ucha żyd z Drobina i pyta:

— Co tam stoja napisane?

Z drugieój strony, Wiśniewski zapytuje cichym głosem:

— Czy pan daleko jadą?

Ja udaję również tajemniczego i dyskretnie odpowiadam:

— Za morze...

— I, ja za morze! — rzecze chłop z westchnieniem. — A co nas tam czeka?

— Nie wiem — odrzekłem.

Wiśniewski westchnął drugi raz. Dziecko żydówki zaczyna strasznie wrzeszczyć i dostaje od matki dwa klapsy, a potem piersi.

— Nie dajcie się tylko oszukiwać szwabom — mówię do Wiśniewskiego — bo szkoda waszych krwawo zapracowanych pieniędzy. W Brazylii może braknąć...

Wśród takich scen dojechalśmy do Szarlottenburga. Trzeba tu widzieć salę dla wychodźców. Jest-to olbrzymia sklepiona suterena, w której przy lichém oświetleniu wypoczywa blisko 2,000 ludzi. W dużym, żelaznym piecu pali się, a emigranci nasi pieką kartofle, inni zajadają chleb, albo rzucają się do snu na ziemię. W tym tłumie widać jakieś figu-

ry, przenikliwie śledzące i oglądające ludzi. Postanowiłem sobie być dzielić losy emigrantów, lecz w Szarlottenburgu zbrakło mi odwagi; wołałem raczej włączyć się zewnątrz, zwłaszcza że to już była godzina 6-ta rano.

Okolo godziny 10-jej wróciłem znowu do sali wychodźców: istna wieża Babel! Jedni się modlą cicho, drudzy śpiewają na cały głos: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”; jakiś elegant macza w ustach grzebień i przyczesuje włosy; inny z kieszeni dobył drewniane pudelko szuwaksu, zdjął buty i czyści, a inny troskliwie rozpatruje bardzo brudną koszulę. Wrzeszczą, modlą się, jedzą, myją się i t. d.

Trwa to do godziny 12-jej w południe; o tym czasie wchodzi szwajcar i woła:

— *Nach Bremen!*

Teraz porywa się cała gromada, pędzi za szwajcarem, jak fala wody, dusząc się i przewracając, unosząc wielkie pakunki. Szwajcar doprowadził ich tak do samych drzwi, a potem sam się wydstaje, ażeby drzwi otworzyć ze strony zewnętrznej, gdyż tu w ścisku niepodobna, — skacze więc po stołach, ławkach, po-przez ramiona tłumu, a młodzi żydkowie klaszczą w dłonie i wołają: „Brawo, brawo!”

Po chwili drzwi się otwarły, szwajcar woła:

— *Heraus alles, weg!*

Ponieważ uchodzę za emigranta, więc ponieważ-
rają mną konduktorzy i szwajcarzy, a rzadko kie-
dy jest czas, aby się upomnieć o swoje prawa pasa-
żera czwartej klasy. I mnie, i chłopów chwytają
ciągłe jacyś ajenci, wypytują, stręczą bilety,
ale nie darmo; bronię siebie i chłopów, jak mogę,
od tego paskudztwa, jednakże strasznie to tru-
dno, gdyż szal zarobkowania na emigrantach jest
wściekły.

Rząd pruski jest przeciwny emigracyi do Bra-
zylji i nie wolno utrzymywać żadnego biura w tym
celu, przynajmniej jawnie. Brazylia jest to spe-
cjalność Portugalii, a w niej — Santosa, tak mi po-
wiedziano w Berlinie. Z tém wszystkiem Prusacy
prywatnie popierają wszystko, byle obedrzeć.

Wsiadamy wreszcie na pociąg do Bremy; ja
szukam wagonu z chłopami: wszędzie zapchane; za-
ledwie się mogę wpakować do jednego, gdzie jest
dużo młodzieży. Są to Galicyanie z pod Tarnowa
i Rzeszowa, a z nimi cztery rodziny słowackie
z pod Koszyc.

W wagonach już teraz do samej Bremy niema
ławek; siedzi się na ziemi. Ja tęsknię za Wiśniew-
skim, żal mi tego chłopca, tęsknię i za stolarzem;
przebiegam koło wagonów czwartej klasy, wy-
wołuję głośno, odzywają się nareszcie, lecz Wi-
śniewskiego z dziećmi trudno wyciągnąć, tylko

stolarz z kochanką przeszli do mego wagonu. Ruszamy.

Partyę galicyjską prowadzi 28-letni żydek, który w wagonie jest bez czapki, tylko w aksamitnej krymce, krzyczy, wywija rękoma, jest bardzo żywego temperamentu. Pełno tu śmiechu, weselości i grubych konceptów, których nie mogę powtarzać. Słowacy jadą do północnej Ameryki, piją ciągle wódkę, w półtoręj godziny są wszyscy pijani, śpiewają. Nasi powyjmowali z książek do nabożeństwa obrazki i przeglądają, jakby fotografie w albumie. Żyd zszywa sobie hałat, kilka kobiet usiadło w okólek na ziemi i, wyciągnąwszy przed siebie nogi, gwarzą, plotą bajki; dzieci polskich niema w tym wagonie, są tylko słowackie.

Jeden ze Słowaków podchodzi do mnie, klepie po ramieniu, nazywa dobrym człowiekiem i wkłada mi do ust butelkę, abym się napil; następnie podaje ją innym Polakom, którzy nie oszczędzają płynu.

— Poszedłem do bufetu, — powiada jeden z naszych — mówię jój: brojtu — dała, a jakem chciał speku, ona ani rusz. Cholera kraj taki!

Możecie sobie wyobrazić, że mi ciężko bardzo robić notaty, bo emigranci są podejrzliwi, pytają zaraz, czy się aby nie ich opisuje. Żal mi nawet oszukiwać tych ludzi, dobrych bardzo, tylko nie-

świadomych i nieszczęśliwych. Jeden ze Słowaków
podprowadza mi swoją żonę i powiada:

— Heska gajdzicka? co?

Plują strasznie na rzeczy, na ciebie, a co gorsza,
zamykają ciągle szczelnie okna.

O 11-ój w nocy przybywamy do Bremy, gdzie
się głównie łapie emigrantów, lecz to opiszę wam
następnie, aby nie rozwlekać fejetonu.

Brema, 28/X 90.

II.

Biwaki w Bremie.

Po ulicach Bremy, w pobliżu dworca kolei o każdej godzinie można spotkać gromady chłopów z babami i dziećmi; jak zauważyłem, kupują głównie naczynia blaszane na wodę i na mleko, co, widać, jest tu tak powszechne, że się spotyka sklepy z napisem „*Blechwaaren für Auswanderer*“. Niemcy przystają na ulicach, lub gapią się z okien, mówiąc:

— *Sieh, Brasilianer aus Polen.*

Wymieniam tu niektóre hotele, raczej gospody, gdzie jest pełno emigrantów, mieszczących się w jednej izbie po kilkunastu, a gdy duża, to i — kilkadziesiąt: Hotel Stadt Minden na rogu Sögestr. i Lindenstr., hotel zum Emigrant-Conradesa, hotel Stadt-Göttingen, gdzie są głównie emigranci z gubernii Kowieńskiej. Ci w moich oczach opluli przekupkę, która za 10 fenigów sprzedała 5 małych jabłuszek.

Na Breitenweg mieszka 50 ludzi z gub. Płockiej, Kaliskiej, Warszawskiej u gospodarza Meyera; uskarżali się przedemną, że wydali pieniądze na kolej, a teraz są głodni, i pytali: „Co, panie, robić?” Prócz tego, pełno ich jest w gospodach Auf der Brake, w hotelu Stadt Warschau, u Günthera i t. d. Obchodzę te duszne i cuchnące przytuliska, o ile mi tylko czas całego dnia pozwala.

Ale najgłówniejszy biwak naszych wychodźców jest to stary bremeński dworzec kolei, duży i zupełnie opuszczony budynek za miastem. Wielkie sale pełne są barłogu, w którym poniewierają się ludzie gorzej, niż psy w budach; ale, rzecz ważna, ten przytułek nic ich nie kosztuje.

Smutny, bardzo smutny widok! Kilkuset ludzi leży w śmieciach, w które zaledwie masz odwagę nogą wstąpić. Wszelki nieporządek, jaki sobie tylko wyobrazić można, spotyka się tutaj. W całej owej wielkiej ruderze roją się tłumy mówiących po polsku. Jedni zostali tutaj, wysiadłszy prosto z pociągu, innych powyrzucano z różnych gospód, ponieważ nie mieli czém płacić za dach i utrzymanie.

Na starym banhofie są prawdopodobnie najwięksi nędzarze. Dostają oni bezpłatnie nie tylko pomieszczenie, lecz i żywność. Rano piją herbatę lub kawę, do tego chleb z masłem; na obiad jedzą mięso gotowane w kartoflach, albo kartofle, kapustę i po śledziu wydają im na osobę. Ten dobroczynny

uczynek spełnia towarzystwo żeglugi północno-niemieckiego Lloyda, a jak mnie upewniał ksiądz Schlosser i drugi Prachar, robi się to bezinteresownie, czysto dla miłości bliźniego. (?) Z tegoż źródła wiem, że Lloyd wydał 22,000 marek na żywienie emigrantów i to w ciągu kilku dni. Towarzystwo Lloyd, naturalnie, na statkach swoich przewozi emigrantów, za co je wynagradza rząd brazylijski.

W starym banhofie nie tylko sale są zajęte, lecz także korytarze i wszystkie kąty, gdyż ludu napływa tu codzień w pociągach kolei. Policjant stoi przy wejściu i tylko wieczorem nie wpuszcza tam nikogo, jak mi mówiono, z obawy złodziei kieszonkowych. W owych biwakach byłem już kilka razy, poszukując znajomych towarzyszy podróży z Torunia do Bremy. Z księdzem Pracharem byłem tu podczas wydawania ludziom z kuchni żywności, a także w czasie bytności d-ra med. Langa, który bardzo troskliwie badał stan zdrowia skarżących się na niemoc.

W dniu 1 listopada odesłano do szpitala chorą Wróblewską z powiatu Sierpeckiego i chłopca 16-letniego, Henryka Rosickiego. Społeczeństwo bremeńskie zachowuje się szlachetnie wobec emigrantów. Na wezwanie krótkie księdza Prachara w *Bremer Nachrichten* z 1 listopada o smutnym stanie emigrantów, pośpieszono z ofiarami; widziałem stosy ubrania, bielizny i obuwia, które do starego

banhofu znoszono; damy tutejsze zajeżdżały w karetach, przywożąc pełne kosze ofiarowanych przez siebie darów. Bo i cóż robić, gdy bliźni cierpi, gdy nie jednemu brakuje koszuli i butów, odzienia, a nierozważnie puścił się w szaloną podróż?

Wogóle katolicki ksiądz Prachar cieszy się wielką sympatyą między chłopstwem i gdy się ukaże, rzucają mu się do rąk, a on swoim morawsko-czesko-polskim językiem nikogo nie zostawia bez pocieszenia, daje śluby, chrzci, spowiada, zachęca do wytrwania w wierze. Jestem zbudowany jego chrześcijańską dobrocią, bo jest to właśnie prawdziwe posłannictwo kapłana. Prachar nie tylko dobrze przemawia, on chodzi, wyprasza dla emigrantów ustępstwa w gospodach i t. d., słowem, dobry człowiek. W niedzielę w katolickim bremeńskim kościele będzie msza św. na szczęśliwą drogę.

Na starym banhofie spotkałem Wiśniewskiego z Rokitnicy, przyjaciela z podróży od Torunia do Bremy. Cała jego rodzina leżała w ciemnym korytarzu na śmieciach, matka karmiła dziecko piersią w kupie barlogu; znalazł się tu także jego brat, którego właśnie trapił skrupuł, że w kraju pożyczył od kogoś rs. 5 na podróż do Ameryki północnej, tymczasem zdecydował się jechać do południowej, chciał więc z Bremy odesłać pożyczone pieniądze. Dowiedziałem mu, że dług będzie mógł odesłać równie do-

brze z Brazylii, a pięć rubli lepiej zatrzymać jeszcze, gdyż o Brazylii straszne rzeczy ludzie mówią.

O tych biedakach na starym dworcu kolei żelaznej w Bremie jest tak dużo do opowiadania, że niema możliwości opisywać wszystkiego. W suterenie jest wielka kuchnia, gdzie dzieci emigrantów obierają kartofle, a kucharz, Niemiec, ciągle jest czynny; herbata gotuje się tu w ogromnych kotłach; mnóstwo chleba zalega stoły.

Nie sądźcie, iż całe to położenie stoi na przeszkodzie sprawom ogólnie ludzkim: ludzie się tu rodzą na biwakach owych, umierają i zawierają małżeństwa. Od d. 23 października przyszło na świat w Bremie dwóch chłopców, umarło zaś w tym czasie troje dzieci. Atoli najciekawsze jest, że zawarto sześć małżeństw; „bo tu łatwo ślub wziąć — mówi jeden chłop — dasz na jedną zapowiedź i do ołtarza; nikt człeku nie wadzi, kobiety nie odbije, kiej się nie wlecze“.

Panuje przekonanie, że w Brazylii najwięcej tacy warci, co już mają żony. Nietylko ślub zawierają, lecz wyprawiają sobie głośnie wesele, według rytuału krajowego, z oczepinami i t. d. Zamiatają w kącie sali jedną kupę śmieci, skrzypków jest pełno między nimi i hasanie trwa przez całą noc, albo i dłużej.

— Rozpusta tylo w głowie u głupiego narodu! — mówił do mnie chłop stary o takim weselu.

Żona brata mojego Wiśniewskiego opowiadała mi, że lada dzień będzie nowe wesele, gdyż krewna jej, Julka, dziewucha 16 letnia, aż się rwie do Błażka, parobka 23-letniego.

Zawiązałem wiele stosunków z tymi emigrantami; nie wymieniam ich nazwisk, aby nie zajmować dużo miejsca. W ogóle, czy to w dzień, czy wieczorem, jeżeli się spotka w spokojnej i poważnej Bre-mie ludzi rozmawiających głośno, można się na pewno do nich zbliżyć, gdyż to są emigranci. Ciągłe ich zapytuję:

— A zkađ ojcowie?

— Oj, zdaleka, zdaleka, mój panie!

I každy gotów ci zaraz opowiedzieć historię swego życia. Podejrzliwość dawniejsza zniknęła teraz zupełnie, nie wystrzegają się mówić, są smutni, większość już głośno żałuje, że kraj opuścili.

Mimo całej swęj sympatyj, jaką mam dla tych biedaków, muszę powiedzieć prawdę, że wielu między nimi nie przynosi chluby krajowi. Pozwalają dzieciom zebrać natrętnie po drogach, są w najwyższym stopniu nieporządni na gospodach, swarliwi i zuchwali. Przy ulicy „*Auf der Brake*“, pokłócili się z gospodynią (firma *Baernermeister*) i chcieli ją bić. Gdzieindziej znowu wtargnęli do izby gospodarza i zabrali mu materace oraz prześcieradła, aby je sobie położyć na posłaniu. Mówiono mi o kra-

dzieży, lecz nie podano dokładnych wskazówek, więc sobie pozwalam z przyjemnością wątpić.

Odwiedziłem redakcyę *Bremeńskiego Kurjera*, jednak sprawa wychodźstwa nie zajmuje tu widocznie dziennikarzy: redaktor tłumaczył się, iż ma dużo roboty, ponieważ pismo jego dwa razy na dzień wychodzi.

Więcej doniosłości miały dla mnie odwiedziny księdza i członka towarzystwa św. Rafała, Schlosse-ra. Gdy tam pierwszy raz przybyłem, zastałem pełno chłopów, a między nimi niejakiego Białeckiego, z pow. Konińskiego; chłopu urodziło się dziecko i żądał chrztu, „bo jeśli małe ma w drodze zamrzeć, to przynajmniej jako katolik“. Wpadła też do księdza baba jakaś z wrzaskiem, wyrzekając, iż ją do cna okradziono. Emigranci są radzi, gdy kto do nich przemówi: — „Ooo, to pan musi z naszych stron!“ powtarzają.

Jestem przekonany, że gdyby nie obawa kary za przejście granicy i nie brak środków, to połowa tego tłumu zawróciłaby już z Bremy. Żywność, choć nie jest zła, nie smakuje im, gdyż nie taka, jak w domu; grochu szablatego jeść nie chcą, wylewają porcyę na ziemię i wołą się opychać chlebem.

W niedzielę od godziny 10 éj rano, tłumy chłopów w kaftanach i długich kapotach, bab w różnokolorowych kieckach oraz chustkach, podążały do kościoła katolickiego przy ulicy Klosterkirchenstras-

se; trudno się tam było przedostać, taki ścisk pano-
wał. Wyglądało to zupełnie tak samo, jak gdyby
suma w kościele parafialnym na wsi.

Niektórzy padali na ziemię, całowali ją, głośno
łkając, inni modlili się żarliwie na głos, a przez cały
czas rozlegały się nabożne pienia, które u nas lud
zwykle śpiewa po kościołach. Kazanie powiedział
ks. Prachar łamanym językiem, zachęcał do wytrwa-
nia w wierze i do ufności w miłosierdzie Pańskie.
Wielu ludzi dnia tego przystępowało do Przenaj-
świętszego Sakramentu.

Z tём wszystkiём było jakoś grobowo, smutno;
patrzac na ów lud zbłąkany, zapędzony w obce
strony, opuszczający ziemię, która rąk potrzebuje,
trudno się od łez wstrzymać. A kiedyż indziej płakać,
jeśli nie w takiej chwili?

Nie widziałem ani jednęj sukmany — wszystko
kubraki, kaftany, surduty, kapoty. Nie spotkałem
ani jednego chłopa z gubernii Radomskiej i Kielec-
kiej. W Bremie też żydzi zupełnie się oddzielili
od chrześcian. Na starym dworcu daremnie poszu-
kiwałem choćby jednego izraelity.

Jeszcze mię bardzo zajmowało sprawdzenie,
o ile chłopi tutaj oddają się pijaństwu: trzeba przy-
znać, iż na tym punkcie panuje znaczna wstrzemię-
żliwość. Ci, którzy zachodzą do szynków, piją
w nich tylko piwo, rzadko — wódkę, „bo jakaś taka
do niczego nie podobna“. Wielu też siedzi w szynku,

aby się tylko pogapić; przyglądają się—to wesołym marynarzom, to murzynom i „ceńniejakiemu narodowi“, o który w Bremie nie trudno.

Już to o gapiów naszych wszędzie się tu potknąć można. Po niedawnej wystawie bremeńskiej do ostatnich dni października odbywały się hece na rynku, chodziły po ulicach wielbłądy, niedźwiedzie z małpami i t. p., więc Maćki, Bartki, Kaśki i Maryny wystawali precz z rozdziawionemi usty.

Muszę tu dodać jeszcze, że wszyscy bremeńczycy usprawiedliwiają się jak najtroskliwiej z zarzutu, jakoby w ich mieście lub w ogóle między nimi istnieli ajenci do sprowadzania od nas emigrantów „*Nach Brasilien*“. Nazywają to handlem ludźmi i zżymają się, gdy im wspominam o takich ajentach. Tylko o nazwisko Santosa ciągle potrącam: mówią o nim księża, ekspedyenci okrętów, właściciele hoteli i sklepów, a zawsze źle.

Dziesiątego listopada wychodźcy mają wsiąść na nowy statek, aby wyruszyć do Lizbony, wszyscy oczekują tej chwili z niecierpliwością.

Brema, 30/X 90 r.

III.

Na okręcie.

Dnia 5-go listopada, o godzinie 2-ój po południu, wyruszył z Bremen pociąg, wiozący emigrantów na okręt do Bremerhaven; już przed 11-stą inny pociąg wywiózł ich był znaczną liczbę.

Umieszczanie na okręcie rozpoczęło się przed 4-ą, a przeciągnęło się po 6-ój.

Przeszło 2,500 głów, pełnych nadziei brazyliańskich, przyjął do wnętrza swego parowiec „München“, należący do towarzystwa północno-niemieckiego Lloyda. Nawiasem mówiąc, jest to jeden z największych statków bremeńskich.

Wraz z emigrantami znalazłem tu i ja pomieszczenie.

Rozpatrzywszy się po zajętej przez siebie kabinie, zszedłem niebawem pod pokład na pierwsze i drugie piętro, które mi się przedstawiły jako rodzaj

morskiej sutereny. Na każdym z tych pięter wiszą dwa pokłady łóżek z żelaznych prętów, a każde takie łóżko zaopatrzone jest w siennik, wysłany słomą, i w poduszkę z trawy morskiej. Na łóżku spoczywa jeden dojrzały człowiek (matka lub ojciec) i dziecko. Przejścia między łózkami są wąskie, tak że minąć się trudno. Obliczyłem te łóżka w I-ym oddziale, i znalazłem ich na górnem piętrze 250, na dolnem 190, czyli pomieszczenie przeszło 800 ludzi, licząc w to dzieci; w trzech więc oddziałach znajduje się powyżej podana ilość głów!...

Zaraz pierwszego wieczoru, emigranci tu i owdzie na łóżku ustawili obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i głośno odśpiewywali „Gwiazdo morza, któraś Pana“. W jednym kącie jakiś pyszałek znowu przechwalał się swoją znajomością tego, co to jest dobry statek parowy.

„Ten na *ocan* nie pójdzie — mówił — za słaby na to; ja do Nordy Ameryki jeździł, to ściany były w dubelt i okna het w dubelt, a to wszystko miętkie: *ocan* jak huknie, rozleci się, ćwieki wypadną“.

Mieliśmy nazajutrz rano ruszyć w drogę, lecz mgła była nadzwyczajna, więc cały dzień przeczekaliśmy w porcie.

Emigranci z naiwnością dzieci lub dzikich, podziwiali wszystko. Zabawnie wyglądali niektórzy, poprzebierani w rozmaite niemieckie szaty, któremi

ich dobroczynna publiczność bremeńska obdarzała. Niektóre dzieci, w brudnych koszulach tylko, miały na głowach piękne włóczkowe czapki; od brudnych nóg odbijały znów rażąco wytworne trzewiczki, suto haftowane majtki. Widziałeś tu modne płaszczyki z pluszowemi pelerynami, długie eleganckie rękawiczki i tym podobne stroje, obce polskiemu chłopu. Niektórzy darami takimi dobrze się obłowili.

Rozpatruję się między ludźmi i na okręcie nie spotykam to jednego, to drugiego, choć wiem, że miał jechać w tej właśnie partyi. O, bo w ostatniej chwili, przy wsiadaniu na parowiec, niektórych już w porcie odeszła ochota Brazylii! Jeden chłop z gubernii kaliskiej był już na pokładzie, lecz żadną miarą nie chciał zejść na dół; spychali go majtkowie, a on się bronił, nareszcie drapnął gdzieś z okrętu: przeląkł się morza i tego *Zwischendecku*.

Przez cały dzień 6-ty listopada chodziłem, zabierając znajomości:

— „Zkąd ojciec?“ — pytam i zwykle odbieram najczęstszą odpowiedź:

— Z pod Mławy, z pod Nieszawy, z pod Słupi, Włocławka.

Z początku jedli bardzo nieumiarkowanie.

— Proszę pana — powiada mi chłop stary — ten nasz naród strasznie podły, jeden bierze jadło za siedmiu, potem *zruc*i, a dla innych brakuje.

Spotkać tu można przeróżne typy psychologiczne. Jakiś szewc z pod Mławy zawraca np. chłopom głowy udając mądrego, powiada, że doskonale mówi po niemiecku.

— Pojedziemy na Francję, tam jest naród *fajn*, delikatny! O, *ja, ja*, na *szycie* musisz konieczniejechać na Francję i na wyspę Ś-ty Heleny.

Inny znowu tłumaczy, że suchary białe dlatego dają ludziom na okręcie, bo doktor tak zapowiedział:

— Nie kazował dawać nic innego, żebyśta sobie kaldunów nie rozpychali; wyjedzieta na morze i *rebekowanie*...

Kiedy wieczór, około 9 éj, mgły się rozeszły i statek zmienił położenie, gotując się do drogi na drugi dzień, wynikł spór na pokładzie:

— Idzie! — rzekł jeden z chłopów.

— Nie idzie! — odpowiada drugi.

Na ten temat jęli się kłócić, aż przyszło do srogich kulaków.

— Żeby nie było takiej skazówki u *styru*, toby ten okręt zalazł kajniebądź na kępy — powiada jeden chłop.

— A juści, juści, magnes go ściąga, jak niema skazować... szytko skazuje, dycht na Bryzolią.

Dnia 7-go listopada o 5 1/2 rano „München“ ruszył dalej w drogę.

Gdym się przyglądał z pokładu falom, podszedł do mnie jakiś tapicer i zaczął narzekać na brak dobrego towarzystwa:

— Wszystko, panie, chamy, dranie; mam przy sobie karty; ale z kimże tu grać w preferansa... Z chłopem?

Już pod wieczór tegoż dnia baby zaczęły się skarżyć, że im się we łbach *kotłuje*. Poszedłem na dół, gdzie zastałem chłopą, który, przeciągając, sylabizował jakąś książkę, inni z odkrytymi głowami słuchali, choć, jak się przekonałem, nie rozumieli, o co chodzi. Treść książki brzmiała np. „Człowiek, który chodzi drogą cnoty, nie czyta światowych występnych książek, ani nie patrzy na sprosne malowidła, gdzie są nagie cielska“. Doradziłem im, aby lepiej zaśpiewali jaką pieśń nabożną.

Jest tu chłop, stary wyga, o którym jego towarzysz tak mi powiada:

— Oni to sobie z niemcami okrutnie dają radę: Kiej im... kucharz wyda i powiada: „*weg, weg!*“ Oni tylko głową kiwają i mówią: a bo ja głupi, nie pójdę! a no kartkę mu pokazują, gdzie sobie napisali siedm kresek, póki się Niemiec nie zmądrzy, że mają siedmioro dzieci... Drugiego toby za drzwi wyrzucili, oni zawdy na swoim postawią.

Nasi chłopci cenią się bardzo wysoko, myślą, że ich pożądamy wielce różne rządy; słyszałem na okrę-

cie legendę, że do naszego parowca podjechał w nocy angielski statek i wykradł 25-u emigrantów.

— Pocoby mieli wykradać? — odzywam się.

— A któż, panie, może wiedzieć? Musi potrzebowali takich polskich ludzi.

Poznałem się znowu z jakimś wyszczekanyim chłopem; powiada, że jest ogrodnikiem z gubernii plockiej, wymyśla na wszystko co polskie, o szlachcie powiada z przechwałką: „Co nasza szlachta? Same galgany i koniec. A bo to u nas są jakie miasta! Ades jest dziesięć razy większy od Warszawy, większy od Brymy, a naród tam okształcony“.

Trzymają się też tych biedaków i figle: kiedy np. na parowcu wypuszczają parę z maszyny, chłop się odzywa do baby:

— Maryna, Maryna, a lećże do krowy, bo się cieli! Nie słyszysz, jak ryczy?

Podczas zaś kołysania się statku, gdy się ludzie zataczają na pokładzie, dowcipny chłop tak się odezwał:

— Dobrze zaganiata gęsi, ani jedna nie została.

Pogoda, która 7-go listopada była od rana, zmieniła się wieczorem. Powstał wiatr, okręt zaczął tańczyć, fale wpadały na pokład, a z tém zaczęła srogo panować i morska choroba. Przyczyny tej choroby chłopie nie pojmują inaczej, tylko widzą ją w przedzeniu się.

— Bo to, mój panie, poobżerali się wczoraj, a tu na morzu trza mieć czysty żołądek. Co innego tam wypić na wzmocnienie jeden, drugi kieliszek *sprytu*, jeno tutaj okrutnie drogi... Franek a to kupił butelkę tańszego za markę, to w morze do ena wylał... słabizna taka!

Spotykam swego przyjaciela, Wiśniewskiego, i pytam:

— Cóż zdrowiście?

— Zdrówem, panie, jenom zrucil...

W nocy mieliśmy przedsmak burzy.

8-my listopada był niespokojny; fale miały ciągle okrętem; pochorowali się i ci, co dotąd wytrwali. Wszystkie kobiety mają głowy poobwiązywane, leżą wyciągnięte na siennikach, jęczą, przeklinają morze, Brazylję i chłopów, którzy je wyprawdzili z domów. Niektórzy chłopci trzymają się jeszcze tego.

Spotykam znowu blagiera szewca z pod Mławy, jak otoczony przez gromadkę chłopów rozprawia:

— Pojedziemy — powiada — przez wodę taką, co jest czerwona jak krew,—przez morze Czerwone.

— Ej!—odzywa się z boku stary chłop—gdzieby woda jaka miała być czerwona? Zwyczajnie nazywa się morze Czerwone, tyło woda jest taka, jak inna.

Inni chłopci spojrzeli na mnie pytająco, szewc umilkł.

Gdyśmy dojeżdżali do brzegów Holandyi, ukazywały się w oddaleniu maszty okrętów przejeżdżających. Mały chłopak stał przy ojcu na pokładzie i pokazywał maszt taki palcem, mówiąc:

— Tatusiu, czy to gruszkę w polu widać?

Śmiech ogólny.

Na dole okrętu niewolno palić tytoniu i w jednym oddziale przestrzega tego majtek pół-anglik, pół-niemiec, który ma brodę capa, a twarz szympansa; podbiegł oto zapalczywie do chłopca i pyta:

— *Do you smoke?*

Ale chłop schował papierosa, a kiedy majtek odszedł, żona winowajcy się odzywa:

— Pokraka jeden, włożył sobie talerz na leb i myśli, że co wielkiego, a toć on ciebie, Michał, smokiem nazwał...

Kiedyśmy płynęli, mając na prawo brzegi Anglii, chłopci się ciekawie przyglądali, a jeden rzekł:

— Czy to i w Bryzoli tak będzie? Chałupy takie rzadkie.

Inny powiedział:

— To są góry oślane, osełki tu takie do ostrzenia kos ztąd dobywają.

Jednego razu otoczyli mię emigranci wkoło i pytają:

— Pan jedzie swoim kosztem?

Odpowiadam im, że swoim, bo jak źle będzie w Brazylii, to wrócę.

— A to pana w Brazylii nie przyjmą — odzywa się któryś — nie przyjmą, dopóki panu nie zwróca tego, co pan na drogę wydał?

— Ależ głupstwa wygadujecie! — odrzekłem.

— Ja panu powiadam, że w Brazylii jest takie przykazanie dla narodu.

Gdy wszyscy wylegną na pokład, wtedy można po stroju mniej więcej poznawać okolice, do których emigranci należą. Nie widzisz tutaj tylko białej ani brunatnej sukmany, równie jak białej magierki lub czerwonej rogatywki z czarnym barankiem i pawiem piórkim.

Za to spostrzegam oto krępego chłopca w szarej kurpiowskiej kapocie, obszytej czarną taśmą i zapinaną na dwa rzędy guzów, z kieszeniami na tyle. Gdzieindziej znówu uwija się chłop, wygolony jak ksiądz, w długiej granatowej sukmanie i czarnym kapeluszu. Jakiś starzec chodzi w kozuchu z siwych baranów i z ogromnym kołnierzem futrzanym na plecach; o ile wiem, jest to patriarchy rodziny, liczącej głów szesnaście; wstrzemięzliwy w mowie, wygląda na człowieka, co zawsze był rozsądny w życiu — raz strzelił bąka, ale dobrego. Dalej nieco w drylichowej marynarce i w takichże spodniach, w kaszkiecie wytartym, zwieszonym na tył głowy, z szyją grubo owiniętą w szal włóczkowy i z papierosem w ustach, umizga się do dziewczyny eks-parobek dworski. W niskim i sztywnym kape-

lusu brązowym, w żakiecie, z dewizką od zegarka, z rękami w kieszeniach od spodni, stoi rzemieślnik większego miasta. Inny jakiś emigrant przesuwają się w bardzo obszernym granatowym płaszczu z wielką peleryną i w czarnym kapeluszu z dużym rondem. Tam znówu widać baranią czarną czapkę i czerwone rękawy koszuli, wyglądające z pod kaptana w formie faldowanej jubki. Chłopak podrostek ma na sobie bardzo obszerny tużurek z długimi rękawami, podarowany przez jakiegoś rosnącego Niemca z Bremy.

Lekarze okrętowi mówią o chłopach tych, że są zdrowi i dobrze zbudowani; za to kobiety po największej części wątłe, słabe i brzydkie; pomiędzy dziećmi panuje na okręcie duża śmiertelność.

Jesteśmy siódmy dzień na morzu: dzieci umarło już sześćcioro i jedna kobieta, urodziło się czworo. Po przybyciu do Rio de Janeiro będą zapewne wesela, bo zalotów jest dużo.

— Czy panna już womitowała? — zapytuje konkurent pani swego serca, a ona odpowiada głosem melancholijnym:

— Jeszcze nie, ale mi się zbiera.

Z dolnych pięt, mimo zaleceń lekarzy, trudno wyprowadzić matki z dziećmi na pokład, gdzie powietrze jest przepyszne, zwłaszcza począwszy już od Oporto. Wprawdzie wiatr nie zmienił kierunku, lecz w podmuchach swoich ma taką miękkość i ła-

godność, jak u nas w ciepłym maju; te baby jednak przekładają duszne i cuchnące powietrze na spodzie okrętu.

Zauważyłem, że wszyscy chlopi są dobrymi mężami i ojcami. Jak oni dbają o swoje chore żony, jak pielęgnują dzieci! Ojców zawsze spotkać można z dziećmi na ręku lub na kolanach. Baby są nadzwyczajnie nieporządne, nie myją się, nie czeszą, leżą na łózkach wśród mnóstwa gratów i artykułów żywności. Bóg wie, co się znajduje na tém okrętowym łóżku, oprócz ciał ludzkich!

Pożywienie im nie smakuje, bo sposób gotowania niemieckiego jest inny.

Co do nadziei brazylijskich, to one maleją, tylko najbujniejsze fantazyje rokują sobie ciągle dużo. Opowiadał mi jeden mularz, że ktoś taki „od nich pojechał do Brazylii i zaraz potem przysłał swęj żonie szyfbilety, a tak pisał: ja tu nic nie robię, jeno w krześle siedzę sobie i oskubuję watę, co okwitła, i za to zarabiam na dzień trzy amerykańskie talary“.

Korespondencyę swoję kończę 13-go listopada, a 8-go dnia po wyjeździe okrętu z Bremerhaven. Jutro mam zamiar wysłać ten list z Teneryfy, dokąd zawiniemy, aby okręt zaopatrzyć w węgle i żywność.

P. S. Już po napisaniu tego listu wdalem się w bardzo interesującą rozmowę z oficerami okrętu.

Wielkie nieszczęście czeka w Brazylii naszych ziomków; z chwilą, gdy oni przeszli granice kraju, stają się własnością plantatorów, nie mających rąk do uprawy trzciny cukrowej i kawy! To wszystko, co dostali w postaci wolnego przejazdu kolejną lub na okręcie, co zjedli i wypili, nic nie płacąc, przyjdzie odpokutować zupełną utratą wolności, jeśli się kosztów nie zwróci. Wyślą ich w okolice puste, może błotniste, gdzie panuje żółta febra, a ich panowie przyszli są to zbiry, przyzwyczajone do niewolników, których im dziś zbrakło.

Co można tylko najgorszego, dziś się dopiero dowiedziałem, tak dyskretnie wszystko kryją pod korcem. Nie wyobrazicie sobie, jak mię te wiadomości zmartwiły! A tu każdy przedemną się tai; nareszcie dziś odkrycie serca nastąpiło w całym tego słowa znaczeniu.

Jutro (14-go listopada), jesteśmy o 5-ój rano na Teneryfie, zkąd list wyślę.

Pogoda cudowna, ciepło, niebo pyszne, ocean ciemno-lazurowy, noc gwiaździsta. Szkoda, że na okręcie dzieci chorują i mrą; zdaje mi się — jest szkarlatyna, lecz tają.

Gdyby się morze przestało tak namiętnie poruszać, tobym jeszcze z Teneryfy wysłał korespondencyę, ale wobec nadzwyczajnego kołysania się statku,

gdy wszystko spada na ziemię, a ja sam ledwie się trzymam na nogach, niema podobieństwa pisać do druku.

Mamy ciągle wiatr północny, który dmie szalenie od samego kanału i podrzuca statkiem.

Jesteśmy u wybrzeży portugalskich w chwili, gdy to piszę.

Jeśli jutro staniemy na Teneryfie, list wyjdzie rekomendowany. Materiału mam mnóstwo, a przybędzie jeszcze więcej. *De facto* emigrantów jest ze mną na statku 2,500: rzemieślnicy, parobcy, bardzo mało rolnych chłopów. Umarło dotąd na okręcie 4-ro dzieci i jedna baba. Chorobę morską, prócz mnie, przeszli wszyscy prawie. Jęk rozpaczy, wymioty rozlegały się przez cztery dni na wszystkie strony.

Nic już więcej nie piszę, bo i to ledwie mogę skończyć.

Teneryfa, 14/XI 90 r.

IV.

Między zwrotnikami.—Przyjazd do portu.

Czternastego listopada jeszcze na niebie ciemno było, kiedym odszrubował okno swego gabinetu w kajucie i spostrzegłem widniejące we mgle wierzchołki gór Teneryfy — ostro kanciaste i po największej części śpiczaste.

Przy płynięsmy do portu Santa Cruz, widzieliśmy zdaleka miasto o domach z płaskimi dachami i zielonemi okiennicami, z ogrodami, w których kwitnęły granaty, róże, lilaki; lecz *na ląd nikomu wsiąść nie pozwolono*, ponieważ na okręcie od czasu wyjazdu z Bremerhaven było sześć wypadków śmierci, a spokojni wyspiarze obawiają się zarazy.

Okręt w porcie nabrał węgla, wody słodkiej, zakupił kilkanaście wołów i przed wieczorem ruszyliśmy dalej. Zaczęły się gorąca i to codziennie

większe. Już pod 19^o północn. szerok. geogr. nie można było spać pod kołdrą.

Nie opisuję tu wrażeń osobistych, których doznałem w czasie tej podróży na morzu, ponieważ te przedstawię osobno; tutaj notuję jedynie fakty, mające związek z emigrantami.

Dziesiątego dnia podróży na wodzie dały się słyszeć wśród emigrantów szmery niezadowolnienia. Utyskiwali, że podróż trwa długo:

— Takie Niemcy mogą nas wieźć gdzie na zgrubę — mówiono — oficerowie powiadają ra czółna i uciekną, a nas zostawią na morzu z okrętem.

Całodzienne próżniactwo, zagęszczona dosyć szkarlatyna, a później błonica pomiędzy dziećmi, sprzyjały wytwarzaniu się coraz większego niezadowolnienia. Jednego dnia było chorych 50 dzieci; obaj lekarze mieli nader dużo zajęcia i bardzo sumiennie obsługiwali pacjentów; ale chłopi wcale na to nie zważali i przypisywali chorobę złemu systemowi żywienia na okręcie.

— Chleb oto dają na morskim kwasie i jak nie mają dzieci umierać.

Jednego dnia nie cheieli wcale brać sucharów, stawiali się bardzo ostro, dopiero niejaki Rybkowski zrobił uwagę, że lepiej dać pokój, bo „kapitan może kazać *matrozom* wrzucać zuchwałych w morze“.

Z tém wszystkiém oficerowie parowca „München“ mówią:

— To jeszcze dobrzy ludzie; przewoziliśmy emigrantów Hiszpanów, którzy niczego się nie bali i zaraz brali za noże.

Chłopi polscy—zdaniem Niemców—są tylko pełni pretensjonalności, uważają się za bardzo znakomych ludzi, a gdy się jedno jakieś ich żądanie zaspokoi, zaraz występuje drugie, trzecie i t. d.

Ani jeden ze wszystkich emigrantów nie miał choćby cokolwiek zbliżonego do prawdy pojęcia o tej podróży.

— Przez dwa dni — mówili — będziemy płynęli po wrzącej wodzie i dlatego okręt okuty żelazem, boby się drzewo rozgotowało.

Pocieszali się jednak w drodze nadziejami brazylijskimi:

— Ja wezmę cztery włóki gruntu — mówił jeden z emigrantów — bo nas jest z babą dwoje i mamy dwoje dzieci.

— A ja — rzekł drugi — muszę wziąć sześc, bo na wiosnę przyjedzie Stasiak z Jagną.

— Na wójta musimy tam wybrać Wicka Strzałę, a Głodzikowskiego na sołtysa.

Takie i tym podobne rozmowy łatwo było słyszeć na pokładzie podczas gorących dusznych nocy podróznikowych, kiedy zasnąć było trudno w pocie.

Przez całą drogę nikt nie zatęsknił do kraju; na ten temat wszcząłem z nimi parę razy rozmowę

z której wynikło, że podróż wcale im nie przypada do smaku; ale też i wracać niema już po co. Przy całej religijności, polegającej głównie na formach, cały zastęp emigrantów na parowcu „München” jest krańcowo i grubo materialistyczny.

Na trzy czy cztery dni przed dotarciem do kresu podróży, rozmawiałem z gromadą jakich trzydziestu ludzi, którym zlekka dałem do zrozumienia, że Brazylia zapewne nie jest rajem, że tam może im być daleko gorzej, niż w kraju, a na pewno daje się przepowiedzieć, że najmniej $\frac{3}{4}$ dzieci nie zniesie klimatu i padnie ofiarą lekkomyślnych rodzicielskich zachecianek.

— Jak ma tam być źle, to niech lepiej i pomrą! — Odezwała się baba, matka trojga dzieci. Żadnej z matek nie udało mi się przekonać o konieczności mycia i utrzymania w czystości dzieci, do których formalnie przyrosły brud i pasorzyty.

— To być nie może, żeby ta Brazylia leżała tak daleko — dowodził jakiś chłop towarzyszom swoim. — Oni nas tak w kółko wodzą umyślnie, żebyśwa potem do domu nie trafili.

Przejazd przez równik nastąpił 20 listopada gorąco nie dawało się zbytecznie uczuć, gdyż wiatr wiał bardzo silny, północno wschodni pasat.

— *Frische Brise!* — mówili starzy marynarze; ale ten *brise* niekiedy był tak silny, że o mało cię z pokładu nie wydmuchał.

— Cni się, panie — mówili chłopci — w nogach człowiek tak ociężał, że niewiadomo, czy będzie można po ziemi chodzić. Co będzie, to będzie, żeby aby raz dojechać do tej Brazylii!

Zaledwieśmy się znaleźli na półkuli południowej, a tu się zepsuła maszyna parowa. Upadam do nóg! Stać na środku Oceanu i naprawiać maszynę. Naturalnie, żaden z chłopów nie wiedział o tém, co się stało; zrobiłoby to na nich wielkie wrażenie. Wyglądali na Ocean, przypatrywali się rybom latającym; zajęły ich też nadzwyczajnie dwa rekiny, które przepłynęły tuż około parowca, a w oddaleniu spostrzeżono jakiegoś potwora morskiego z tępo zakończoną głową — prawdopodobnie któregoś z walów.

W dwanaście godzin maszynę naprawiono i ruszyliśmy z szybkością 13-tu mil morskich na godzinę, czyli 312 tu na dobę.

Młody księżyc pokazał się na niebie; mieliśmy już ciągle nieporównanie piękne ranki i wieczory, a nawet w strefie deszczów spotkała nas jedna tylko porządna ulewa. Oh, koniecznie trzeba prędko dojechać, bo ludzie chorują! W szpitalach pełno bab, starców. A jednak wszystkiego przez całą drogę umarło tylko dziesięcioro; za to urodziło się sześćcioro.

Dwudziestego piątego listopada rano przepowiadam swoim ziomkom, iż w nocy dojedziemy do Bra-

zylii; ruch się zrobił zaraz nadzwyczajny, wszysej poczęli pakować swoje rzeczy. Jakaś kobieta zchodzi mi drogę i pyta, czy tam spotka swego męża, który na siedmnaście dni przed nią przeszedł granicę, ona zaś za nim podąża z pięciorgiem dzieci — biedactwo!

Po drodze już teraz spotykaliśmy mnóstwo parowców, wracających do Europy z Rio de Janeiro i Buenos-Ayres.

Od Bremerhaven do Rio de Janeiro przebyliśmy około 6,000 mil morskich.

Brzegi Brazylii dały się widzieć przed piątą rano dwudziestego szóstego listopada: są to łańcuchy gór nadmorskich, pokrytych lasami palm, magnolij i t. p.

Parowiec „Strasburg”, który z 1,000-em polskich emigrantów wyjechał na 10 dni przed naszym odjazdem z Bremerhaven, tak różnemi przygodami trapiiony był na Oceanie, że dopiero razem z nami wjechał do portu Rio de Janeiro.

Piękny to port naturalny, otoczony dokoła górami skalistemi, zapełniony lasem masztów i kominów okrętów parowych! Oko nie wie, gdzie się dłużej zatrzymać, czy na tych skałach o dziwnych kształtach, czy na mieście malowniczo rozłożonem na trzech górach, czy na zielonej płaszczyźnie wód, po której, wśród olbrzymich statków, z flagami wszystkich narodów świata, uwija się mnóstwo drobnych czółen żaglowych, parowych i wiosłowych.

Zdziwienie naszych emigrantów było niemałe; bo nikt na nich nie czeka, nie śpieszy aby ich przyjąć; wśród tego wielkiego ruchu nikt na nich nie zwrócił uwagi. Rozpoczęły się biurokratyczne formalności ze strony urzędników celnych, później urzędników sanitarnych, a wreszcie wjechała brazylijska inspekcja emigracyjna.

„München“ zdał swój towar na papierze, lecz trzy dni z emigrantami stać musi w porcie, bo wszystkie domy schronienia dla emigrantów są przepełnione i trzeba dopiero miejsce dla nich znaleźć; biwakują oni na tak zwanych wyspach „emigranckich“, zwłaszcza na wyspie „Kwiatów“, gdzie przed niedawnymi jeszcze czasy były targi na niewolników.

28 go piszę tę korespondencję, jako dokończenie krótkiego sprawozdania z podróży na parowcu.

Mała barka żaglowa przywiozła mię przed 20-tu godzinami do Rio-Janeiro i jestem teraz od okrętu o godzinę podróży oddalony.

Ponieważ zamierzam zwiedzić kolonie polskie w Brazylii, przeto szukam stosunków. Miałem od Was list do p. San Angelo, lecz ten wyjechał do Valparaiso.

Charakter miast jest nader oryginalny, ludzie zupełnie inni niż u nas: zajmują się sobą tylko, ruch bardzo wielki i do późnej nocy, a upały straszne.

Rio de Janeiro jest tak kosztowne miasto, jak chyba żadne inne na świecie!

Przed chwilą powróciłem od p. Ferreira da Araujo, redaktora jednej z dziesięciu wychodzących tu gazet politycznych (*Gazeta de Noticias*): przedstawiłem mu się i powiedziałem, że mam zamiar zbadać stosunki i warunki bytu emigrantów polskich w Brazylii. Od niego dostałem kartę polecającą do p. hrabiego do Taunay, który jest wiceprezydentem do spraw emigracji i kolonizacji; otrzymałem od tego ostatniego *rendez-vous* na jutro między 10-tą a 12-tą rano, jako dziennikarz z Warszawy.

Oprócz tego p. Franklin Alvares Junior ma mię jutro o 1-ęj po południu przedstawić samemu ministrowi, abym dostał urzędowe pozwolenie na ową podróż po stanach Brazylii.

Za dwa dni najdalej będę więc w podróży.

P. S. Wyjeżdżam dziś z Rio-Janeiro; jadę do prowincyi Santa Catharina, a ztamtąd do Parany: podróż ogromna, razem wzięwszy, więcej niż dwa razy do Londynu tam i nazad.

W owych prowincyach zwiedzę polskie kolonie, do których zebrałem potrzebne adresy w biurze emigracji.

Z hrabią de Taunay miałem długie dosyć po-

siedzenie i rozmowę o emigracyi; ale tego na razie nie opisuję.

W biurze emigracyi udzielono mi map pomiarowych i nazwisk, gdzie mieszkają polacy. Inspektoriat zaś rządowy daje mi kartę polecającą, abym znalazł odpowiednie traktowanie; nie uwierzycie, ile te rzeczy kosztują trudu i zachodu przy słońcu, które pali jak piekło.

Do Santa Catharina wyjeżdżam za godzinę z 1,000 wychodźców.

Rio-Janeiro, 29/XI 91.

V.

Na okręcie w podróży. — W porcie. — Brazylikańscy urzędnicy wydziału kolonizacyi. — Po com przybył do Brazylii? — Dom przy ulicy Ladeira da Gloria. — Narada Lukulusa z Lukulusem w kawiarni „de Globo”. — Redaktor brazylikańskiej gazety. — Hrabia i senator.

Gdy przez jaki miesiąc czasu ciągle morzem płyniesz i płyniesz, włożysz się nałogowo w tryb życia jednostajnego, zamkniętego w pudle, nosząc nazwę okrętu. Wtedy obchodzi cię głównie stopień geograficznój szerokości i długości, pod którymi się znajdujesz, obliczasz ilość mil morskich, przebytych w ciągu doby, przesiadujesz nad mapą, obserwujesz termometr i barometr.

Na okręcie codziennie jedno i to samo: majtkowie szorują zawzięcie pokłady, obmywają łodzie,

rozpinają lub zwijają żagle, wywieszają lub zdejmują flagi i t. d. Inna znowu służba czyści troskliwie klamki, szruby okien, myje drzwi, okna, podłogi w salonach i kabinach.

Marynarze wyższego rzędu — ludzie spokojni, jak posągi, małomówni, przechodzą około ciebie, a na ich twarzach zdajesz się czytać jakąś zagadkę.

— *Morgen!*

— *Morgen, Herr Commendant!*

— *Frische Brise!* — mówi pan kapitan lakonicznie. A tu dmie taki wiatr, że czapkę na głowie musisz dobrze ręką przytrzymywać.

Innym razem okręt się kołysze, jak szalony, przerzucił cię już nieraz od ściany do ściany, masz sińce na łokciach i kolanach a kapitan robi ci niespodziankę, kiedy przechodząc, mówi:

— *Es ist aber hübsch!* — Myślę sobie: musi być *hübsch*, skoro on tak powiada.

I nigdy a nigdy nie jest źle; choćbyś się nawet topił, to zawsze z wybornem przekonaniem, że jest jednak *hübsch*, że mogłoby być o wiele gorzej. Taki jedynie stan psychiczny ma dla człowieka wartość na morzu. Kobiety, dzieci, nie powinny się puszczać w przydłuższą podróż morską: boją się, płaczą, wyprawiają wrzaski, a wszelkie *frische Brise* i *hübsches Wasser* obchodzą jak najstraszniej przez morską cho-

robę, która u nich nieraz się kończy dopiero w hotelu na lądzie.

Oto przybyłeś już do celu, okręt stoi w ostatnim porcie, zewsząd otoczyły go łodzie, a ty ze solą na języku, i jakby z ołowiem w nogach stoisz na pokładzie otumaniony, i dopiero po chwili zadajesz sobie w myśli pytanie: — „Po com ja tutaj przypłynął?”

Ba, jesteś już na lądzie i jeszcze ci się zdaje, że ziemia pod tobą skacze; stawiasz nogi niepewnie, boś przywykł do zachowywania innej równowagi. Spisz już, jak porządny filister, w betach, lecz we śnie mającą ci się rozmaite meteorologiczne awantury.

Przepłynąłem prawie 90 stopni szerokości geograficznej, a blisko o 60 stopni długości jestem oddalony od Warszawy. Gdzie to tam jakiś porcik Cananeja, a gdzie moja Saska Kępa!

Słona woda tyle razy mnie obryzgała, że szmaty na mnie są twarde: Bóg wie, ile tam w nich funtów soli, pomieszanej z pyłem węgla kamiennego! Jestem jak mięczak w skorupie. Upał nadzwyczajny tłoczy mi mózg; czuję instynktownie, że mam w sobie jakąś ideę, lecz jej uświadomić wyraźnie nie mogę. Ciągłe tylko w głowie wiją się, jakby niezatarte wypiętnowane, obrazy z państwa Posejdona. Bujam się na oceanie, na tej przepysznej szmacie globu! To szafirowa, to ciemno granatowa, z blaska-

mi szmaragdu, z wieńcami białych fontan, które perlami tryskają w górę. Jeszcze widzę olbrzymią smugę światła słonecznego, rozlaną na widnokrąg oceanu. Jeszcze dobrze pamiętam, jak o zmroku wyglądały te fale: zimne, ślizkie, niby galareta. A w nocy nieraz ryczą i wyją, jakby potwory, które rozdziawiają straszne paszcze, wyszczerzają okrutne kły białe. Oto w oddaleniu w susach pędzi fala rozczochrana, jak furja, na łbie kurzy się jej czupryna, przypadła do okrętu i ulewą w twarz mi napluła za to, że swą pierś rozbiła o żelazo parowca. Okręt zaskrzypiał, stęknął, pisnął, jakby miał duszę w sobie.

Lecą od brzegu lekkie parowczyki z banderami brazylijskiej Rzeczypospolitej. — „Wizyta, wizyta!“ — Powtarzają na wszystkie strony oficerowie niemieckiego parowca. I wnet lekarze z Rio de Janeiro sprawdzili, że Europa nie przesyła Brazylii żadnej epidemii. Po lekarzach wtargnęli na statek, jeszcze w Starym Testamencie przeklinani, celnicy. Po celnikach przybyli urzędnicy wydziału kolonizacji, aby odebrać spisy emigrantów i rachunki za przewóz oraz żywienie.

Było to kilku elegantów w lakierowanych butach, w brylantowych pierścionkach na palcach, mieli szyje obwiązane białymi chusteczkami, aby się nie opaliły na słonecznym spieku. O, bardzo źle sprawiali wrażenie ci panowie! Na spisy i rachunki za ledwie

okiem rzucili, a za to poszli przepatrywać, czy przyjechały do nich jakie piękne kobiety. Przystojniejsze dziewczuchy pokazywali sobie palcami. Wśród tego ludu czarnego, ogorzałego, zbiedzonego, odartego, kontrast stanowili owi panicze. Gdyby kto na pogrzebie powszechnie szanowanego męża zagrał skoczno kozaka i zaczął wyskakiwać, mniej-by mię to raziło, aniżeli zachowywanie się takie panów urzędników.

Teraz wyleczyłem się zupełnie i uwolniłem z pod wpływu długiej podróży przez Atlantyckie; zniknęły wszystkie obrazy morza, prześlicznych wschodów i zachodów słońca, a z pod progu świadomości wynurzała się myśl o zadaniu i celu mej podróży. *Przybyłem do Brazylii tylko po to jedno, aby się naocznie i bez żadnego uprzedzenia przekonać, co za podstawę mają nadzieje tysięcznych tłumów naszego ludu, szukającego polepszenia bytu materialnego tak daleko, tak bardzo daleko od kraju.*

Jeżeli mnie w tej podróży będą obchodziły jeszcze inne jakie sprawy, to się dopuszczę rodzaju kontrabandy w obec owego głównego społecznego celu. Trudno się było uchronić! Czytelnicy w dalszym ciągu sami osądzą, o ile obowiązek obywatela i człowieka służył mi za przewodnika.

Ziomków moich przewiozły łodzie na wyspę Flores, gdzie są koszary emigranckie, a ja zaraz potem znalazłem się na rozpalonym bruku stolicy

Brazylii, Rio de Janeiro. Po portugalsku nauczyłem się już tyle, że wiem, jak się nazywa woda, chleb, mięso, nóż, widelec, mieszkanie i t. d. Mogłem powiedzieć: proszę, dziękuję, dzień dobry, dobry wieczór — słowem najbardziej używane zwroty.

Właśnie w czasie naszego tutaj przybycia zaczęło się lato, a z niem nieznośne upały i oczekiwanie — gorszej od upałów — żółtej febry, która atoli w tym roku pojawia się sporadycznie, a nie jako epidemia.

Jak tylko znalazłem się w hotelu i otrząsnąłem pył podróży z sandałów, odrazu powiedziałem sobie: „Ażeby zacząć coś robić, trzeba się koniecznie przyczepić do jakiego bliźniego; bo złe czy dobre rady zawsze są już wskazówkami dalszego postępowania“.

Nie tracąc czasu, wziąłem w rękę adres, którego mi udzielił redaktor *Kuryera Warszawskiego* i wybiegłem na miasto. W mieście tęp rozwleczone, rozbitym po górach, długo poszukiwałem ulicy Ladeira da Gloria; znalazłem nareszcie dom z oznaczonym numerem, zamknięty zewsząd, jak forteca. Dobrze i długo się tu dobijałem, aż wreszcie wyszedł do mnie murzynek; pokazałem mu adres i rzekłem:

— *Avisa o senhor, que tenho chegado!* (Daj panu znać, że przyszedłem).

Murzyn odszedł, a po chwili wrócił i zaprowadził mnie do jakiejś starzej francuzki. Dama ta, chora na nogi, siedziała w fotelu i, nie tracąc czasu, odrazu zaczęła przedemną żalić się i oplakiwać upadek monarchii w Brazylii.

— Ten, którego pan poszukujesz—mówiła—jest człowiekiem bardzo szlachetnym; wspólnie oboje ubolewaliśmy nad rewolucją i upadkiem cesarstwa... Cóż o tem mówią w Europie?

Czułem, że mi zagraża niebezpieczeństwo bawienia chorej kobiety, więc, wyzuwszy się z litości, zażądałem stanowczo, aby mi ta pani raz powiedziała, gdzie mianowicie i kiedy mogę się widzieć z panem da Ang...

— Ależ on wyjechał! — zawołała. — Gdzieżby mógł dłużej pozostawać po upadku monarchii?

— Zapewne przebywa niedaleko, na prowincyi? — zapytałem.

— Niech Bóg broni! Pojechał do Valparaiso, pojechał ze łzami w oczach!

Straciłem cztery godziny czasu napróżno. Więc cóż, „załamać łapy i bić się w chrapy“? Powróciłem na to samo miejsce, z kąd wyszedłem, następnie wszedłem do wielkiej międzynarodowej kawiarni „de Globo“, gdzie anglicy często piją wino szampańskie, niemcy — piwo, brazyljanie czarną kawę lub mleko z kawą, a ja kazałem sobie podać kawę

i kieliszek koniaku. Tutaj, spokojnie siedząc, naradzałem się sam ze sobą, co dalej przedsięwziąć. I z tej narady Lukullusa z Lukullusem wypadło, że się trzeba chyba udać do któregoś z brazyliańskich braci po piórze, aby mi na początek udzielił jakichś wskazówek.

Właśnie leżało przedemną kilkanaście płacht drobno zadrukowanėj bibuły, a ja, nie rozumiejąc ich treści, zastanawiałem się, któraby tu redakcyę wybrać za swego doradcę. Bo — myślałem w duszy — cokolwiek mi powie taki pan redaktor, czy mu będę wierzył, czy niedowierzał, zawsze mi to pomoże do oryentowania się lepszego, aniżeli w chwili obecnej. Instynktem wybrałem *Gazeta de Noticias*, a jak mnie później objaśniono, zrobiłem wybór najlepší.

Niezwłocznie udałem się na poszukiwanie redaktora i wnet go znalazłem.

Byłem przejęty swą rolą do szpiku, więc wypaliłem mowę do pana Ferreira de Aranjó na temat nieszczęścia, jakiemu podlega nasz lud, uwodzony przez ajentów obietnicami, nie dającemi się w żaden sposób zrealizować.

— Jako od literata — rzekłem — mam prawo oczekiwać od pana objaśnień co do emigracyi chłopów polskich do Brazylii. Bo jeśli ajenci postępują sobie nieuczciwie, to przecież jesteśmy sprzymierzeń-

cami i przeciwko nicuczeiwości musimy wspólnie wystąpić.

Tak przemawiałem, sformułowaawszy sobie przedtem jeszcze cały ów *speech* w myśli. Redaktor wysłuchał mię uważnie, a następnie oświadczył z całą skromnością, że sprawy emigracyi ludu polskiego i jego kolonizacyi na ziemiach Brazylii są mu bardzo mało znane.

— Osobiście nie mogę panu udzielić żadnych informacyj — mówił — ale udaj się pan do hrabiego A. de T., który się kwestyami temi bardzo gorliwie zajmuje.

Cały następny dzień (27 listopada) zeszedł mi na usiłowaniach zobaczenia się z hrabią. Przedewszystkiem adres, dany mi przez redaktora, był zły. Ale ponieważ hrabia jest osobistością znaną w Rio de Janeiro, więc dobry jego adres rychło znalazłem. Cóż kiedy nadaremnie zachodziłem raz, drugi i trzeci! Dopiero za pośrednictwem jego sekretarza uży-skąłem termin *interview'u* na dzień 28-my listopada o godzinie 12^{1/2}.

Rozumie się, że byłem punktualny i z zegarkiem w ręku stanąłem w oznaczonym czasie na miejscu. Przedstawiłem służącemu swą kartę, a on wprowadził mię do czekalni, gdzie się znajdowała wielka ilość bardzo pięknie oprawnych książek, a na sztalugach było pełno obrazów, nawiasem mówiąc, lichych. Po upływie jakich pięciu minut, wyszedł

do mnie z za kotary mężczyzna wysoki, wybornie zbudowany, o pięknych rysach twarzy, a dobrze już podłysiały. Z wykwintną uprzejmością, ale i protekcyjnością dużego pana podał mi rękę i wprowadził do swego gabinetu.

Odrazu z kopyta opowiedziałem, co mię sprowadza do Brazylii:

— Tracimy siły, których ziemia nasza potrzebuje. Może ich potrzebuje rzeczpospolita; ale one są *glebae adscriptae*, do nas należą. Każdemu z obywateli naszego kraju bardzo chodzi o ten ubytek sił ludzkich, a przytem trapi nas niepewność, czy się te siły nie marnują, czy ludzie biedni, ofiary nieświadomości, nie giną na próżno?

Hrabia przebierał po stole palcami ładnej męskiej ręki i słuchał mię dosyć obojętnie, a kiedym skończył, on rzekł:

— Z jakim mandatem pan przybywasz?

— Najpierw z dobrą wolą własną, następnie mam upoważnienie jednego z krajowych dzienników, a oprócz tego, wydaje mi się, że życzenia ogółu towarzyszą mój podróży.

Przy tych słowach wydobyłem upoważnienie redakcyi *Kuryera Warszawskiego* i przedstawiłem je hrabiemu.

— Jakto, więc wy tam macie i dzienniki? — zapytał.

— Posiadamy nawet dosyć starożytną i bogatą literaturę! — odpowiedziałem, urażony pytaniem hrabiego.

— Mój panie, ludzie przybywający od was znajdują tu dla siebie dobry byt (*ils trouvent la situation*)!

— Widocznie warunki bytu mało tu znaczą bez ludzi, skoro Brazylia ludzi tak pożąda; natomiast ludzie nawet mniej przychylne warunki bytu mogą uczynić korzystnymi dla siebie.

— To sofizmat! — odpowiedział hrabia, a potem nagle zwrócił się do mnie z zapytaniem: — Czy pan jesteś pisarzem znanym w Europie?

— Zdaje mi się, że w kraju pewna ilość ludzi czytuje moje prace literackie; do Europy bo nie mam żadnej pretensyi... Coś, ktoś, gdzieś tłumaczył na obcy język...

Hrabia wstał teraz z krzesła, podszedł do pięknej szafy i wyciągnął z niej wielką encyklopedyę, wydawaną pod kierunkiem Angelo de Gubernatisa, bodaj czy nie we Florencyi; spojrzął na mój bilet wizytowy i zaczął w książce przewracać kartki. Potem palcem pokazał mi nazwisko Dydyński, a pytającym wzrokiem spoglądał w me oczy.

— O ile wiem — odrzekłem — jest to profesor. Musiał napisać jakąś uczoną pracę, skoro go tu umieszczono...

Mówiłem to głosem cierpkim, gdyż zachowanie się hrabiego uważałem jako ordynarne i w każdym

innym razie byłbym na nie bardzo ostro odpowiedział. Chodziło mi przecież o interesa emigrantów.

— Więć pana tu niemal—rzekł hrabia, a potem szybko przewracał w encyklopedyi kartki i nie wiem w którym już tomie pod literą T. pokazał mi długi o sobie artykuł, obszerne sprawozdanie o swych pracach literackich, a także będącą tamże swoją podobiznę — drzeworyt.

Uśmiechnąłem się w duszy, bom pomyślał: „Przebaczam ci ordynarność, ponieważ jesteś zarozumiały i głupi!“ Głośno zaś rzekłem z zadowoleniem:

— Oh, panie hrabio, wszystko się stało w tej książce według skali zasług!

Przyjął to za dobrą monetę, gdyż niebawem opowiedział mi, że był senatorem za cesarstwa, a w polityce kolonizacyi brazylijskiej odegrał bardzo ważną rolę.

— Jedź pan—mówił—do stanu Parana, a znajdziesz tam kolonie, noszące nazwisko hrabiego de T. Dam nawet adres do niejakiego Będaszewskiego, o którym się dowiesz w Kurytybie, stolicy Parana; jest to człowiek zamożny, mający wpływy i używający znaczenia.

Z temi słowy hrabia wyciągnął swój bilet z piękną koroną i zaczął coś pisać; ale nagle się zatrzymał, pomyślał chwilę, na bok odsunął swój bilet,

a na moim, leżącym tuż pod jego ręką napisał:
„Bendajeski à Curtiba, état de Paraná“.

Chciałem zawołać:

— Hrabio, ja nie szukam ludzi wpływów, znaczenia i majątku! Chcę się tylko przekonać, co robicie z biedakami, nędzaczami, których wyciągacie z rodzinnej chaty i rodzinnego zagona!

Ale bąknąłem tylko pod nosem i z niechęcia:

— Nie, nie! Ja chłopskich kolonij z ostatnich czasów będę poszukiwał w Brazylii, niech mi hrabia w ten sposób dopomoże! Może są jakie dzieła, broszury o kolonizacyi?...

Uderzył się ręką w czoło i myślał. Nie mu głowa nie odpowiadała widać, bo nią darmo wstrząsał i stulił ramiona.

— Rozporządzenia rządowe, mapy stanowiłyby dla mnie bardzo ważną informację...

— Bądź pan jutro w samo południe u mojego sekretarza, polecę mu, aby ci dał wszelkie objaśnienia potrzebne.

Żegnałem go niebawem, gorzko będąc rozczarowany w duszy.

Człowiek tak sławny, autor, senator... Jak na hrabiego, to źle wychowany, jak na senatora, to przygłupi nieuk, a samochwał i blagier.

Naturalnie, nie dotrzymał mi słowa, nie dał żadnych rozporządzeń swemu sekretarzowi, który mnie zadziwionego tą niesłownością, objaśnił:

— Pan hrabia ma na swojej głowie bardzo dużo zajęć.

— To niech nie ma pretensyi do wielkości i sławy, skoro wszystkiemu podolać nie może!

Do stanu Paraná, gdzie są emigranci dawni, zdaje się głównie z poznańskiego, mogłem się przejechać, lecz dopiero w końcu swjej podróży po Brazylii. Obecnie za jaką bądź cenę postanowiłem dotrzeć do tych miejsc, gdzie się osiedlają zupełnie nowi wychodźcy; pragnąłem poznać zarodek takiej kolonii, widzieć następnie jej wzrost i rozwój.

VI.

Węże i jaszczurki, jako zwierzęta domowe.—Moje plany i konsul. — Zastępca inspektora kolonizacji brazylijskiej. — Nowy zawód. — Chłopi emigranci na bruku w Rio de Janeiro. — Niektóre uwagi o Brazyliancach i ich życiu. — Święto Fenianów. — Awantura w redakcyi liberalnej „Trybuny”. — Francuz o zawodzie dziennikarza.

— O, tępo mi coś idzie w Brazylii! — myślałem sobie, zrażony przyjęciem u hrabiego.

I znowu w kawiarni „do Globo“ zrobiłem naradę ze sobą samym, co mam dalej począć. Kawiarnię dlatego tym razem wybrałem, że w hotelu, w izbie mojej, jaszczurki najswobodniej łąziły po ścianach i pokazywały mi swoje języczki. Gdy się odniósł do zarządzającego miejscowym porządkiem, rzekł:

— Ależ, panie, to są najniewinniejsze stworzenia pod słońcem! Mamy tu także węża, który od czasu do czasu odwiedza naszych gości, a jest tak

oblaskawiony, że się wcale ludzi nie boi. Nie trzeba się obawiać, jeśli panu kiedy złoży wizytę.

Teraz ułożyłem sobie plan taki: iść do konsula, zaawizować paszport, w biurze jego zostawić adres redakcyi *Kurjera Warszawskiego* na wszelki wypadek, jeśli się gdzie zaprzepaszczę, następnie na pierwszym lepszym okręcie puścić się dostanów: Św. Katarzyny i Rio Grande do Sul, dokąd wysłano (wiedziałem już z gazet) największą ilość polskich emigrantów.

Jakoż w parę godzin potem, byłem już w biurze konsulatu, gdzie młody i wykształcony człowiek, syn konsula, pełni obowiązki sekretarza. Ten przez telefon dał zaraz znać ojcu o mojem przybyciu.

Jakkolwiek mię traktowano w Brazylii, źle czy dobrze, zawsze widziano we mnie tylko korespondenta dziennikarskiego, albo podejrzanego człowieka, który się nosi z głęboko utajonemi myślami i może przedsięwziąć coś zgubnego dla rzeczypospolitéj, która jeszcze pod każdym względem koszulkę w zębach nosi. Pierwszemu panu Franklinowi Alvares Junior zawdzięczam szczerą i bezinteresowną gotowość przyjścia mi w pomoc, a nawet uprzejmą gościnność.

W konsulacie już mogłem się przekonać, że moi ziomkowie wychodźcy doznali srogiego zawodu. Całemi setkami oblegają oni nieraz kancelaryę konsula, błagając, aby ich powrócono do kraju.

Pan Franklin uznał plan méj podróży za dobry, radził mi tylko, abym dla wielu względów nie zachowywał w podróży *incognito*. I, jak się pokazało, miał racją.

Jeszcze tego samego dnia poszedłem z konsulem do biura głównego inspektoryatu kolonizacyi brazylijskiej, a tak gorąco pragnąłem poznać ów przybytek. Wcale ładna kancelarya pana naczelnika wydała mi się szlachtuzem chłopów polskich. Czekaliśmy tu czas jakiś, lecz pan inspektor główny na moje nieszczęście nie pojawił się w biurze. Więc konsul dał mi do niego list mocno polecający i doradzał, abym się udał do prywatnego mieszkania pana inspektora. Nie lubię chodzić z listami, drażni mię ta licha etykieta; ale tu zależało na pośpiechu, więc się zgodziłem. Los jednak oszczędził mi przykrości, bo zaledwie wyszliśmy na ulicę, spotkaliśmy zastępcę inspektora głównego, a ja poznałem w nim jednego z owych mężów, którzy z niemieckiego parowca odbierali od kapitana emigrantów. Zaraz na ulicy zostałem mu przedstawiony, gdzie też i wymienilem z nim kilka słów, dotyczących mego posłannictwa w Brazylii.

— To bardzo dobrze, żeś pan do nas przyjechał; bo w prasie europejskiej Bóg wie co wypisują, a nikt się naocznie nie przekonał o istotnym stanie rzeczy.

— Szukam tylko prawdy i nad to nie mam żadnego innego celu — odrzekłem.

— O, tak, tak! O prawdę tu jedynie chodzi. Jest teraz godzina druga, przybądź pan do mego biura po czwartęj, a dam listy polecające do delegata kolonizacyi w Desterro, stolicy stanu Św. Katarzyny, aby panu ułatwiono najzupełniej zbadanie istotnego stanu rzeczy. Z Rio może pan dziś jeszcze wyruszyć i to w towarzystwie tysiąca emigrantów polskich.

Pomimo nadzwyczajnego znużenia na strasznym skwarze, byłem teraz tak uszczęśliwiony, że mi się nie chciało odpocząć. Z gorączkową niecierpliwością wyczekiwałem czwartęj godziny, a gdy wybiła, ja już z torbą podróżną w ręku i z mapą Brazylii znajdowałem się w kancelaryi inspektorjatu. Niebawem nadszedł i pan zastępca, L. de N.

Razem udaliśmy się nad brzeg morza; on świsnął z bulwaru (miał świstawkę w kieszeni od kamizelki) i zaraz na to hasło szybko, jak strzała, podpłynęła łódź parowa, na której podążyliśmy ku stołecemu w porcie na kotwicy parowcowi „Planeta“. Po drodze prowadziliśmy rozmowę tak ciężką, jak gdybyśmy obaj byli profesorami nauk państwowych: jeden drugiego chciał oblagować, to jest oczy zamydlić; on mi mówił o doniosłości polityki kolonizacyjnej zarówno dla państwa, jak dla ludzkości, ja powtarzałem: „*Certainement*“, „*Vous avez raison*“, a w du-

szy myślałem: „Nie złapiesz mię ty na plewy humanizmu! Dosyć mam już tych teoryj, co to pozornie przekonywają, jako logika frazesu, ale w praktyce jest inaczej.“

O dziennikach europejskich wyrażał się L. de N. z goryczą i przekąsem, aby mi w ten sposób dać poznać, iż w korespondencyach swoich mam zupełnie otwarte pole pisać inaczej i przypodobać się Brazylji.

Nareszcie przybyliśmy do „Planety“, gdzie mój protektor przedstawił mnie kapitanowi okrętu, oznajmiając, że rząd rzeczypospolitej bierze na siebie pokrycie należności za moje podróże. Zrobiłem grymas ceremonii na tę wiadomość, a mój protektor z całą wrażliwością przyzwoitego człowieka zawołał:

— Przecież to pana do niczego nie zobowiązuje!

Wnet mi się przypomniała rozmowa polaka T. z prof. W. we Wrocławiu:

— Gdybyś pan nie był profesorem uniwersytetu — mówił T. — dostał-byś kuflem w łeb za to, co mówisz o polakach.

— *Brauchen Sie sich nicht genieren!* — odparł spokojnie Niemiec.

Potem pan zastępca inspektora głównego długo coś na boku rozmawiał po portugalsku z kapitanem okrętu, a wreszcie zbliżył się do mnie i rzekł:

— Na nieszczęście, nie możesz pan dziś wyje-

chać z Rio de Janeiro, gdyż parowiec „Planeta“ jest uszkodzony i muszą go naprawiać.

Wróciłem więc zawiedziony do hotelu z jaszczurkami; ale w kieszeni miałem już list, zaadresowany: „*Ao Cidadao E. E. de V., Delegado do Inspector Geral, no Desterro.*”

I znowu nazajutrz (d. 30 Listopada, Niedziela), o 8-jej rano, z mapą i torbą podróżną przybyłem do biura inspektoryatu. Ale drzwi były jeszcze pozamykane; tylko murzyni zamiatali sienie, zerkając na mnie białkami swych oczu. Rozpocząłem przechadzkę po ulicy tam i nazad. Wkrótce spostrzegłem gromadę ludzi, głośno rozmawiających, a podkówkami od butów robiących szczepek, jakby konie szły przez ulicę. „Nasi idą!“ — pomyślałem i nie zawiodłem się. Obdarci, lecz z dobrimi minami, w kaszkietach na bakier, podążali emigranci polscy ku kancelaryi inspektoryatu.

Odrazu na ulicy ucieliśmy gawędę:

— Sześć miesięcy temu będzie — mówił jeden — jakieśwa nieszczęśliwie przyjechali tu z Polski...

— Co ty bajesz — sześć, kiej więcej! — odzywa się drugi.

— Cóżście przez ten czas robili?

— A posłali nas bryzoliany do Minas Geraes (jedna z lepszych pustyni świata), ale tam pies nie wytrzyma, tośwa wrócili do Ryjo; niech nas lepiej potopią, albo we łby postrzelają!

— To tu widać ciężki kawałek chleba?

• — Oj, niech cholera tego zdusi, kto Bryzolią wynalazł!

— Przecież tutaj ludzie żyją.

— Jacy ta ludzie!.. Co pan myśli, że taki bryzolian do czego podobny? Ścierwo, boso chodzi, a przy ostrogach! Ta oni chleba nie jedzą, ludzkiego słowa nie znają...

Nadchodzili urzędnicy, zaczęto drzwi biura otwierać, i ja też z chłopami podszedłem do przybytku kolonizacyi, gdzie przedpokój wyglądał zupełnie tak, jak nasze biura stręczców służących. Chłopi zaraz hurmem rzucili się tam we drzwi, krzyczeli na cały głos i wymyślali od złodziei, od łajdaków. Bardzo byłem ciekawy, na czem się to skończy, kiedy właśnie nadszedł pan L. de N., zmierzył okiem sytuacją, powiedział coś półgłosem do jednego z urzędników, a mnie poprosił do swojej kancelaryi na piętrze.

Tutaj siedziałem przez chwilę, poczem mój protektor wręczył mi bilet z adresem: „*Snr. Presidente da Companhia Lloyd brasileiro*“. Był to poprostu bilet wolnej jazdy, co wyglądało na łapówkę. Źle mi zapachniał cały interes. „Miałem jechać do Desterro z tysiącem emigrantów, a potem się jakoś wycofano... Ej, panie Adolfe, mówią o tobie, żeś człowiek miękki, nie zrób jakiego paskudztwa!“

Wyraziłem skrupuły wobec p. Franklina, ale ten się roześmiał:

— Pan masz zupełne prawo — rzekł — według tutejszego zwyczaju, i nie potrzebujesz się krępować. A tylko tą drogą możesz dotrzeć, dokąd pragniesz; inaczej... wątpię.

Piszę wszystko szczerze, aby dzienniki brazylijskie wiedziały, iż fałszem jest, jakoby tajemnie postępował; mam dowody i świadków na wszystko, i „*dever nunca se afastar da verdade*” (słowa jednego z dzienników w Rio de Janeiro o mnie).

Ponieważ parowiec Lloyda brazylijskiego wyruszał do Desterro dopiero w Poniedziałek o 12-jej rano, pozostała mi przeto wolna Niedziela na jakie takie rozpatrzenie się w życiu mieszkańców stolicy Brazylii. Naturalnie przedstawiam tutaj tylko osobiste wrażenia, a nie żadne studia, na co nie miałem czasu przecież.

Murzyn, jakkolwiek wyzwolony, jest tu jeszcze murzynem między białymi, $\frac{1}{2}$ -białymi i $\frac{1}{4}$ -białymi; pełni on wszystkie grube służebne roboty: przenosi na głowie ciężary, ładuje okręty, wysługuje się za parobka, a na starość najczęściej zebrze.

Nawet uliczni czyściciele butów są biali, ponieważ to lżejszy zarobek, zwłaszcza na ulicach pryncypalnych.

Uważałem, że w towarzystwie z białymi rzadko kiedy można spotkać murzyna. Murzynki najczęściej mają kramy z owocami, lub służą po domach za kucharki i niańki.

Cudzoziemców w Rio de Janeiro pełno, a nie spotkałem ani jednego takiego, który-by nie wymyślał na Brazylią.

Niedziele i święta ludność tutejsza obchodzi uroczysto: oprócz kawiarni oraz aptek, wszystkie sklepy są pozamykane, a na ulicach ruch znacznie mniejszy, niż w dni poprzednie.

Szczególnie przedstawia się tu europejczykowi młodzież szkolna. Widywałem żaków w wieku lat 10 do 15-u, jak z laskami siedzieli w „Amerykańskiej café-restaurant“, pili tam koniak, palili ogromne cygara, a wszystkie te pędraki minami swemi pozowały na ludzi dojrzałych i poważnych.

Brazylianie mało używa przechadzki; w ogrodzie publicznym zwykle bardzo niewiele osób. Mężczyźni schodzą się na ulicy i tworzą tłum zupełnie taki, jak u nas bywa przed giełdą; nieraz wystawają tak gromadnie, że się trudno precyzyjnie; albo znowu wysiadują w dystrybucjach tabacznym, księgarniach i innych sklepach. Uprzywilejowaniem miejscem takich schadzek w południe i wieczór jest ulica do Ouvidor.

Brazylianie jest to przedewszystkiem elegant, strojniś, zawsze wyświeżony, przeglądający się w zwierciadle, okryty błyskotkami, uperfumowany, zamiłowany w złocie i brylantach. Nie mogłem wyjść z podziwu, gdy mi bardzo poważni ludzie opowiadali, że w Rio de Janeiro lekarza poznaje się po

tém, iż nosi pierścionek ze szmaragdem, adwokat ma znowu w pierścionku rubin, inżynier wojskowy—szafir, a inżynier cywilny—turkus, czy coś takiego i t. d. Od Niemca, Anglika, Polaka dziwnie odbija ten typ człowieka o drobnych rączkach, małych nóżkach, małej głowie, z czarnemi, jak smoła, oczyma. W dużych miastach i w małych nie spotkasz nic takiego, co-by wskazywało, że naród myśli, czuje, pracuje: brak pomników, brak smaku w budowie kościołów i domów, a daremnie poszukiwałem po sklepach w Rio de Janeiro, jako też na prowincyi, wyrobów krajowych wyższej wartości; szukałem dzieł o Brazylii, map—niema. Niemcy piszą o Brazylii dzieła i wydają mapy tego kraju; Niemcy cywilizują Brazylią. Jest tu za to wyborna kawa i znakomity tytoń.

Przez całe swoje życie nie widziałem tyle fajerwerków, ile przez czas pobytu w Brazylii; nawet w dzień, podczas nabożeństwa, puszczają przed kościołem fajerwerki. O ilem spostrzegł, murzyni są głównie tu nabożni.

Brazylianie posiadają sporą fantazyą, która buja tém swobodniej, gdy ją rzadko kiedy w porywach ogranicza jakaś pozytywna wiedza. Fantazyja ta jednak nie wytwarza nic zbyt godnego uwagi. Spotyka się czasem dobry towarzyski frazes i nic więcej. Jest tutaj bardzo rozwinięte dziennikarstwo, i—wy-

znać należy—bardzo sumiennie prowadzone; ale niema literatury, niema pisarzy.

Oby to, com tu na niekorzyść Brazylian powiedział, było źle przezemnie zaobserwowane!

Zwiedziłem muzeum, ogród botaniczny, prześliczny ogród publiczny nad brzegami morza i, w oczekiwaniu jutrzejszej podróży do stanu Św. Katarzyny wracałem około godziny 9-jej wieczorem do domu w przekonaniu, że wzruszenia, w połączeniu z jaszczyrkami, oka mi dziś zmrużyć nie pozwolą.

Kiedym przeszedł już ulicę S. Francisco de Paula i wydostałem się na duży plac, ujrzałem masę ludzi z pochodniami; byli to Fenianie, którzy przy tém świetle i przy ogniach bengalskich obchodzili jakąś uroczystość. Odbywszy pochód, zniknęli mi z przed oczu w bramie domu, gdzie się ich klub znajduje.

Wieczór ten był jakiś nadzwyczajny, bo znowu na rogu ulic: Assembléa i do Carmo, spotkałem tłum ludzi, któremu wojsko na koniach tamowało przejście. Właśnie w Rio de Janeiro dnia tego zaszedł nadzwyczajny wypadek, godny, abym go tutaj wspomniał.

Gazeta *Tribuna*, dziennik liberalny w pełném znaczeniu tego wyrazu, śmiałymi artykułami atakował tymczasowy rząd brazylijski, a mianowicie też zwracał się z pociskami do reprezentanta tegoż rządu, gen. Manoela Deodoro da Fonseca. Otóż, po jednym z takich ostrych, lecz podobno sprawiedliwych

artykułów, do redakcyi owęj gazety, około godziny 8-ęj wieczorem (dzień prawie jasny), wpadło coś ze dwudziestu ludzi, uzbrojonych w noże, kastety, rewolwery. Napastnicy ci niszczyli i psuli wszystko, co im podpadło pod rękę; jeżeli zaś spotkali ludzi, sprawiali im wały. W taki sposób zburzono całą redakcyą, a dwóch ludzi ciężko poraniono (o ile wiem, jeden umarł wskutek pobicia). Jest to awantura bardzo charakteryzująca stosunki w Brazylii. Napastnikami bowiem byli stronnicy terażniejszego rządu. — Więc cóż znaczy ta rzeczpospolita wasza i jej liberalne urządzenia? — zapytywałem potém Brazylian, którzy mi odpowiadali, że ja, Polak, nie znam się na polityce, będącej walką stronnictw... Piękne stronnictwa, gdzie jedni mają noże i pistolety, a drudzy — trochę bibuły.

Nie wiem, czy dzienniki europejskie rozbierały akt ten i czy zaznaczały jego doniosłość; ja go tu notuję bez żadnych komentarzy.

Nazajutrz rano, przed pójściem na statek parowy, piliem kawę, a niedługo potém jadłem śniadanie w hotelu „du Commerce“, gdzie mieszkał. Przy stole było pełno Francuzów, którzy mnie tu znali, jako Polaka, i niekiedy wdawali się ze mną w rozmowę. Któryś lepiej mi znajomy zapytał, czém się zajmuję i po co jadę do stanu Św. Katarzyny.

— Szukam wrażeń — odrzekłem — jestem bowiem literatem.

— Aha, to pan pisujesz do gazet? Czytałem właśnie kiedyś artykuł, że jeden Polak przyjechał do Brazylii, aby się przekonać, jak się tu powodzi emigrantom. To o panu była mowa? Mój panie, pamiętaj-że o tém, że Brazylianie są łajdaki, nieponie, oszusty; nie oszczędzaj ich przed światem! Wy, literaci, których tysiące ludzi czytają i którym wierzą, jak przykazaniu, wy nie lubicie mówić prawdy... Panie Polaku, nie bądź-że takim!

Strasznie czupurny był ten Francuz.

Wypaliwszy mi morał, wstał, trącił się ze mną kieliszkiem wina i życzył mi szczęśliwej drogi. Jużem go potém nigdy nie widział, choć po miesiącu czasu wróciłem znowu do hotelu „du Commerce“, gdzie się przez ten czas urodziły już młode ja-szczurki.

VII.

Aviso na parowcu „Desterro”.—Ładowanie okrętu.—Gdzieżby w Brazylii brakowało na okręcie polaków. — Studenci brazylikańscy. — Wybitniejsi ludzie w Brazylii. — Kapitan Jeronimo França. — Inżynier wojskowy w powrocie z podróży po Amazonce i niemiec komiwojażer. — Przybyłem do Desterro.

Już jestem na eleganckim, filigranowym brazylikańskim parowcu „Desterro” i w kabinie nr. 12. Przeczytałem sobie *aviso*: — „nie wolno tu palić tytoniu, mieć przy sobie psów, małp, niewolno rozpinąć odzieży, ubliżać kobietom i w ogóle dopuszczać się czynów, obrażających zasady moralności”. Wszystko to wypowiedziano w *aviso* tonem kaznodziej-skim, o ile zrozumiałem portugalszczyznę. Jest tu na okręcie ozdobnie, w salonie i pokoju jadalnym—pełno kwiatów; ale po wszystkich kątach włóczą się niesforne, krzykliwe dzieci, a mimo ostrzeżenia, brazylianie i brazylianki rozwalają się, jak dłudzy, po kanapach. Wychodzę na pokład; powiewa flaga

z godłem „*Ordem e progresso*“; murzyni, śpiewając monotonne pieśni, znoszą na swych głowach wory z towarami, wtaczają beczki, dźwigają kosze,—słowem ładują okręt. Na workach, beczkach—znaki firm i napisy, wskazujące, dokąd towar idzie: do Desterro, Santos, Paranagua, Porto Allegre i t. d.

A gdzieżby w Brazylii na jakim okręcie nie było teraz polskich emigrantów!... I tu zdaleka ich już spostrzegam, — poznaję z cholew butów, z kapot, kaftanów granatowych, a dzieci—z białych, jak len, włosów.

— Niech będzie pochwalony! Jak się macie? Skądście?

Zaraz się schodzą, otaczają mnie, wypytują.

— A pan skąd? Czy pan także emigrant?

— Nie, nie emigrant; przyglądam się tylko, jak tu jest emigrantom, a potem to w książce opiszę.

— No, to pan ucziwie robi! Żeby tak dawniej był kto spenetrował, możebyśwa tu teraz nie byli...

— Więc wam źle w Brazylii?

— Nikomu na świecie gorzej już być nie może: Ostatnia nędra i straszna kara boska za jakieś nasze grzechy!

— Mój panie,—pyta inny chłop—kto nas też tu w tej Brazylii na takie ciężkie utrapienie ściąga?... Różnie o tym gadają.

— Was tu sprowadza rząd brazylijski, który przebywa w Rio de Janeiro.

— Toć urzędników rozmaitych widzieliśwa, jeno nie wiadomo, czy nad tēm jest jaki król.

— W Brazylii niēma króla; — odrzekłem, — jest rzeczpospolita.

— Ciewy, to bez to to tak źle! A w kraju, to nam het rozpowiadali, że pod cysarza idziewa na poddanych...

— Ej, co oni ta u nas wiedzą! — Zawolał znowu inny. — Toć nam na szyfie niemiec jeden rozpowiadał, to samo co pan mówi, tyło się nie każdy mógł zmiarkować o onēj rzeczpospolitēj...

— Jakby tu król był, toby porządek musiał u nich być lepszy.

— Choćby i my na ten przykład, moglibyśwa iść ze skargą, pożalić się, a skoro oni się tak pospolicie rządzą, to niewiadomo, gdzie kogo szukać.

— Na czele rządu — rzekłem — stoi w Brazylii prezydent rzeczpospolitēj.

— Pewnikiem zarówno z tymi urzędnikami trzyma.

— To w Ryjo proszę pana taki najstarszy siedzi? — pytają.

— Tak jest, w Rio.

— A czy to on takie štuki wymyśła z emigracją i tym ajentom do nas iść kazuje?... Bodaj jego śmierć nagła!

Zacząłem chłopom tłomaczyć, co to jest rząd wogóle, a co w szczególe rząd rzeczpospolitēj; ale

mi w owym zapale dydaktycznym przeszkodził jakiś urzędnik okrętowy, który począł chłopów spędzać z pokładu, gdyż się bardzo tłoczyli i tamowali ładowanie okrętu. Rozchodzili się, mrucząc i wymyślając. Z oddalenia jeszcze słyszałem, jak rozprawiali we trzech, we dwóch, o prezydencie rzeczypospolitej.

Wkrótce potem „Desterro“ skakał już po Atlantyku walea na dwa „pas“.

Kilka razy jeszcze zachodziłem do wychodźców polskich, między którymi spotkałem współtowarzyszy podróży z parowca „München“, a wszyscy byli bardzo zgoryczeni, obdarci; dzieci ich — całkiem w krostach w upału, lub z głowami tak oblanemi, jakby to była jedna rana z olbrzymim strupem. Na okręcie nikt ich nie rozumiał, ani oni nikogo; pomiatano nimi pogardliwie, popychano ich, przerzucano. Raz się ująłem za jakąś kobietą w poważnym stanie, którą majtek tak silnie na bok odepchnął, że się do burty potoczyła; chciałem go w kark poczęstować, lecz drapnął, śmiejąc się szyderczo.

Niebawem nastąpiły paskudztwa morskiej choroby, gdyż morze było dosyć niespokojne i okręt się mocno kołysał: w każdym kącie ktoś leżał, stękając i womitując.

Na tym parostatku znajdowała się wyjątkowo znaczna ilość pasażerów, zwłaszcza młodzieży z kursów prawniczych, gdyż właśnie był to początek wa-

kacyj. Staralem się zawierać znajomości, aby sobie wyrobić sąd o mieszkańcach Brazylii. Ruchliwa i bardzo krzykliwa ta młodzież prowadziła nieustannie gorące spory polityczne, z których mogłem nabrać przekonania, że obecny prezydent, generał Deodoro, bynajmniej się nie cieszy powszechną sympatią w kraju, a monarchizm ma jeszcze swoich entuzjastów. — „Całą zasługą generała Deodoro — powtarzano mi zewsząd — jest to, że jego, a nie kogo innego, wyniesiono na godność najpierwszego prezydenta zjednoczonych stanów Brazylii“.

Szczególny to prezydent — myślałem, słuchając rozmów owych—był i jest dotąd przyjacielem osobistym ex cesarza, a nadto, z przekonań swoich ma być czystym monarchistą!

— Prawdziwym twórcą brazylijskiej republiki — mówił jeden z młodzieży — jest Beniamin Constant, znany matematyk, człowiek wielkiej inteligencji, czystego charakteru, słynący z patriotyzmu, z przekonań demokratycznych i wywierający duży wpływ na młodzież.

— Jakież on stanowisko obecnie zajmuje?

— Jest ministrem wychowania publicznego.

W dalszym ciągu wypytywałem studentów, jakich Brazylija ma ludzi, którzy wystają ponad ogół, męzowie stanu i t. d. Wymieniono mi następujące osobistości:

Rio Branco, twórca abolicji 28-go września 1870,

(synowie niewolników przestali być niewolnikami). *Saldanha Marinho* (czytaj Saldania Marinio), żyjący jeszcze 86-letni senator rzeczypospolitej, autor sławnego dzieła „Ganganelli”. *Assis Brasil*, pisarz republikański, historyk dobry i publicysta, autor dzieła „*La république fédérale*”, obecnie minister w Buenos-Ayres. *Ruy Barbosa*, ekonomista. *Thobias Barreto*, filozof przyrodnik (zmarł w roku zeszłym). *Silvio Romero*, jego uczeń, równie jak mistrz inteligentny. *Władysław Netto*, dyrektor muzeum w Rio de Janeiro.

Nareszcie ciż sami studenci pokazywali mi jednego z pasażerów, mówiąc:

— Ten oto człowiek bardzo się przyczynił do przekształcenia monarchii na rzeczpospolitą; jest to jeden z najczynniejszych współpracowników Beniamina Constant, ma dużo energii i charakteru, a nazywa się Jeronimo França i jest kapitanem brazylijskiej armii czynnej. Staralem się o zawiązanie stosunków z p. França i gdym go poznał, zyskał on mój szacunek, a pożegnaliśmy się w Desterro, jako dobrzy przyjaciele. França kończył studia w Paryżu, gdzie poznał wielu Polaków; dobrze zapamiętałem tylko wspomnienie M. Szeligi, znanej autorki. Był on także w Warszawie, odwiedzał w Częstochowie swego przyjaciela, p. Joachima Wiernika. Zajmuje się dużo naukami przyrodniczymi i jest wyznawcą teorii Darwina. Pół-francuz, pół-brazyli-

nin, jest França gorącym republikaninem i patriotą; mniemam atoli, a on podziela chyba me zdanie, że wśród brazylian brak tego, co w Europie nazywają charakterem, uniemożliwia wszelkie szlachetne porwy robót społeczno-politycznych. Za leniwi, za tępi i zanadto próżni są brazylianie, ażeby mogli coś na świecie zrobić. Poprostu zaleje ich kultura niemiecka.

Rząd tymczasowy pod prezydentem, generałem Deodoro, uważał pana França za osobistość niebezpieczną w Rio de Janeiro i polecił mu przenieść się na wyspę św. Katarzyny do miasta Desterro. (Desterro—znaczy miejsce wygnania).

Kiedym spostrzegł, że pytaniami swemi na okręcie sprzykrzyłem się już jednym, wtedy szedłem między innych. Znajdował się tam także młody inżynier wojskowy, który odbył właśnie podróż po Amazonce i przebywał w tamtych okolicach przez ośm miesięcy, przeprowadzając studia celem rozgłębienia komunikacyi. Na owęj wyprawie było 35-u ludzi, lecz tylko 9-u powróciło — reszta umarła na różne febry. Inżynier, o którym mowa, stracił zupełnie zdrowie: był bardzo znekany chorobą. Opowiadał mi dużo o Indyanach, żyjących w stanie półdzikim ponad brzegami Amazonki.

Od inżyniera szedłem znowu do emigrantów polskich, dodawałem im ducha, choć zwykle na próżno: oni już w nie nie wierzyli.

Oprócz tego, zawarłem bardzo korzystną dla siebie znajomość z Niemcem, komi-wojazerem, który znał na wylot ceny hotelów, obiadów, śniadań, łodzi po portach całej Brazylii, a to jest rzecz ogromnej doniosłości; przytęm Niemiec mówił po portugalsku wybornie i jechał do Desterro także: nie nie było łatwiejszego, jak stanąć razem z nim w jednym hotelu.

Wśród takich to okoliczności przybyłem do Desterro, podczas gdy emigranci popłynęli dalej na południe. W porcie nająłem łódź z żaglem i przybiłem do lądu.

VIII.

Symptomaty choroby i wyobrażenia. — Rada komiwojażera. — Aptekarz i lekarz. — Wizyta u pana delegata. — Choroba, o której się tu nie mówi. — Wieści z ulicy. — Biuro kolonizacyjne i hotel emigrancki w Desterro. — Michał Cieślik z pod Białegostoku. — Co nasi emigranci mają w Brazylii. — Czego im brakuje? — Urubił. — *Canja i cha* (kanżaisza). — Henryk Rupp. — Pastor protestancki i geometra kolonizacyjny.

Zaledwie się rozgościłem w hotelu i pomyślałem, co dalej przedsięwziąć, gdy dostałem tak silnego zawrotu głowy, że usiadłem w nadziei, iż stan taki rychło przejdzie. Tymczasem było mi co chwila gorzej: przystąpiły dreszcze, ból w krzyżu i w nogach. Wyobrażenia zrobiła swoje i nie omieszkała poszeptywać: „Pewnie żółta febra, a nie febra, to beriberi (choroba nóg, kończąca się paralizem)“. Ścierpłem na myśl, że w Desterro mogę poleżeć jakie dwa tygodnie, bo umrzeć — to już wszystko jedno gdzie. Nadaremnie sobie powtarzałem: „Nie, nie mogę chorować!”

Kiedym poczuł, że istotnie jakieś mocne zakłócenie jest w organizmie, zacząłem przyzywać murzyna posługującego w hotelu, a skoro się zjawił, prosiłem, aby przyzwał przyjaciela mego, komi-wojażera. Jakoż niemiec w binoklach na nosie i z uśmiechniętą fizygnomią wnet się ukazał na progu mej izby. Opowiedziałem mu o swym stanie zdrowia i o swoich obawach.

— To nic — rzekł — dźwignij się pan i idź do „Dragaria e Pharmacia“, dadzą jakiegokolwiek lekarstwo i po wszystkim.

— Jak to, aptekarz ma mnie leczyć?

— Nie chcesz pan aptekarza, to on panu lekarza sprowadzi; wszystko jedno.

Zebrałem siły i chwiejąc się na nogach, poszedłem na ulicę szukać „Dragaria e Pharmacia”. Zakładów tych jest dosyć w Brazylii, więc niewiele miałem trudu.

Potrzebuję lekarza — rzekłem po francuzku.

W odpowiedzi na to, jegomość z czarną brodą wziął do rąk parę flaszeczek i na migi się wypytywał, jakiego chce lekarstwa; na etykietach flaszeczek były różne napisy, a między nimi... *Oleum rini*.

— *Non non!* — zawołałem.—*Médecin!*... *Medico!*

Pan z czarną brodą spokojnie postawił na półce flaszeczki, a sam wyszedł przed sklep i zaczął głośno wołać na kogoś po imieniu:

— Olimpio, Olimpiol

Zaraz potém rozległ się tentent kopyt końskich, a ja przez otwarte drzwi spostrzegłem zajeżdżającego młodego człowieka, z twarzą przyjemną, ogorzałą. Wyglądał jak polski szlachcic przy gospodarstwie. Był to lekarz, który pod tę porę właśnie konno objeżdżał w rynku swoich pacyentów i stawiał się na wezwanie aptekarza. Poszliśmy teraz oba do kąta, gdzie wywiesilem język i dałem puls do obmacania. Lekarz mię zapewnił, iż niema żadnego niebezpieczeństwa i zapisał łokciową¹ receptę *para o snr. Dygasinski*. Wiem, że tam był bizmut, nux vomica, amoniak, rumianek i jalapo, czy jalepo gommoso etc.

Ale bardzo mi się podobała fizyognomia szczerą pana doktora i zupełny brak namaszczenia kapłańskiego; więc go *stante pede* poprosilem jeszcze, aby mi pokazał, gdzie mieszka pan „delegado“ kolonizacyi ziem w stanie św. Katarzyny.

— Zbierz się pan i pójdź ze mną — rzekł lekarz — podążam w tamtą stronę, więc cię doprowadzę.

Gwarząc ze mną, szedł, a wcale ładnego siwka mierzynka prowadził za lejce. Nareszcie pokazał mi drzwi domu pana delegata.

Wszedłem na pierwsze piętro i zapukałem (dzwonki rzadko gdzie spotkałem w Brazylii; nawet do hotelu „du Commerce“ musiałem się w nocy od

ulicy pięściami dobijać). Służący odebrał list od inspektoryatu głównego, a ja czekałem na przyjęcie. Pan V. nie dał zbyt długo na siebie czekać, wkrótce wyszedł i poprosił mnie do salonu. Zaraz na wstępie wyraził on zdziwienie, że do Brazylii przybywa tak wielka ilość polskich wychodźców. Na to mu odpowiedziałem:

— Nie wiem, czy rząd brazylijski upoważnia różnych agentów do wywabiania ludzi z kraju naszego i czy wysoko płaci za te usługi; ale mogę panu zaręczyć, że ajenci owi czynią chłopom polskim tak wygórowane obietnice, iż prostaczkę oprzeć się im nie może. Tu więc szukać należy przyczyny tak gęstej od nas emigracji.

Rozmawialiśmy z kwadrans czasu, jeśli nie dłużej, a pan delegat słuchał mię, jakbym opowiadał rzeczy zupełnie dla niego nowe.

W Brazylii ciągle sobie powtarzałem słowa J. J. Rousseau: *L'homme n'est pas méchant, mais les hommes sont méchants.*

— Wiesz pan co — rzecze V. — jedź do Rio Grande do Sul! — I uderzył się ręką w kolano, a w twarzy jego czytałem pragnienie wyprawienia mię od siebie. — Polaków tam jest dużo — mówił — będziesz pan miał ogromne pole do obserwacji!

— Może i pojedę później — odparłem — lecz teraz chciałbym jak najprędzej zobaczyć na kolonii takiego chłopca z Polski, który właśnie niedawno

przybył do Brazylii, a wiem, że w stanie św. Katarzyny o to jest łatwo.

— No, to rozpatrz się pan tymczasem w Desterro, obejrzyj nasze biuro kolonizacyjne, hotel dla emigrantów, a potem pojedziesz, gdzie ci się podoba.

— Szanowny panie — zawolałem — mnie bardzo pilno!

Pan delegat uśmiechnął się najuprzejmiej w świecie wzruszył ramionami i rzekł:

— Wszystko, co tylko będę mógł zrobić dla pana, zrobię; ale u nas komunikacya bardzo utrudniona i w podróży trzeba mieć dużo cierpliwości...

Teraz wykupiłem w aptece lekarstwo, wróciłem do hotelu i rozpocząłem kuracyę. Nie wiem, co źle poskutkowało: wizyta u p. delegata, czy lekarstwo — dosyć, że przed wieczorem byłem prawie nieprzytomny w skutek silnej gorączki.

Przebieg mojej choroby nie jest ciekawy dla czytelnika, więc go pomijam; ale ponieważ jest on w związku z moją wyprawą, więc zaznaczam, iż przez cztery dni pozostawałem w łóżku, lub na fotelu ciągle. W tym czasie odwiedził mnie parę razy França.

Mój towarzysz, komi-wojażer, miał widać dużo zajęcia i znajomych, bo ciągle przebywał w mieście. Jednego razu przychodzi on do mnie i powiada:

— Wiesz pan, co słyszałem na mieście od ludzi dobrze rzeczy świadomych? Oto, że pan nie wy-

jedziesz z Desterro, dopóki delegat nie otrzyma telegramu z Rio de Janeiro oraz instrukcyi, jak się względem pana zachowywać.

— Ah, nie martw mnie pan złemi wieściami, bo i tak dużo mię kosztuje zwłoka z powodu choroby. Gdybyni był zdrów, tobym musiał jechać bez względu na wolę delegata! — zawolałem.

— Ja panu więcej jeszcze powiem — mówił znowu niemiec — trzeba się mieć na ostrożności, bo pana uważają za człowieka niebezpiecznego, który podpatruje czynności rządu, a Bóg wie, co za użytek z tego zrobi... Słyszałem to na własne uszy i daję panu ostrzeżenie.

Roześmiałem się z tój ulicznej wieści, a swoją drogą mi się przypominało mądre: *timeo Danaos et dona ferrentes*; zerwałem się przeto na równe nogi, wypilem filiżankę *cha* (sza), t. j. herbaty, ubrałem się i poszedłem do p. delegata. Tu zacząłem wyrzekać, iż w Desterro tracę czas bardzo mi drogi. Pan V., zawsze uprzejmy, prawdziwie po francuzku grzeczny, prosił mnie do swego biura, gdzie ważną rzeczą dla mnie były mapy kolonizacyjne stanu św. Katarzyny. Przyglądałem im się ciekawie, a w mojej sceptycznej głowie żyła myśl: „mapa jest tylko symbolem czegoś, co niewiadomo jak wygląda w rzeczywistości”.

Następnie pan delegat poznał mnie z podwładnym

swoim, francuzem z urodzenia, a szefem hotelu emigrantów w Desterro.

— Siadajcie panowie teraz obaj w czółno — mówił V. — i popłyńcie do hotelu emigrantów.

— Ha, dobre i to! — pomyślałem.

Kiedyśmy szli nad brzeg morza, przyłączył się do nas kapitan França, ten zacny bankrut idej demokratycznych i republikańskich. Oświadczył on gotowość zwiedzenia hotelu dla emigrantów.

Jak na Desterro, gdzie, prócz przyrody, niema nic a nic pięknego, hotel ów jest to zdaleka przyjemny dla oka budynek; biały dom na wzgórzu i nad morzem. Im bliżej, tém bardziej znikają wdzięki, a gdy już wejdiesz wewnątrz, powiadasz sobie: i to bogate państwo w stolicach swoich stanów buduje takie budy, aby w nich przyjąć swych pracowników, obywateli? Nie opisuję, co tam jest, ponieważ brakuje wszystkiego.

Godną widzenia była jedna tylko rzecz: garstka samotnych polskich emigrantów, wysiadujących w téj pustce. Przed kilku właśnie dniami znaczną liczbę polskich wychodźców wyeksperyowano z Desterro do kolonij, a w hotelu emigranckim pozostało wszystkiego pięcioro ludzi. Był tu 75-letni starzec i 80 letnia kobieta. Starzec wyemigrował do Brazylii ze synem swoim Michałem Cieślikiem z gubernii grodzieńskiej, powiatu białostockiego, a włości

Zawykowski. Cieślik ma żonę i bardzo uło-
mną, bo prawie w kabłąk garbatą, siostrę.

Naturalnie, przywitałem ich po naszymu i zaraz
w całym tém gronie pojawiła się radość, a obok te-
go — utyskiwania na losy.

— Niech nam pan napisze list do naszych, niech
im pan doniesie, że nam tu okrutnie ciężko, nie do
wytrzymania! Po „żebrach“ chodzić u siebie lepiej,
niż prowadzić życie takie, jak nasze!...

— Co oni do pana mówią, zapewne się uskarża-
ją? — zapytał przełożony hotelu emigranckiego.

— Są nieszczęśliwi! — odpowiedziałem z nie-
chęcią, a zwróciwszy się do kapitana França, po-
wodziłem mu dosłownie w przekładzie francuzkim
skargę polaków.

— Na kolonii, przy pracy, odzyskają duchową
równowagę, smutek ich zniknie — rzekł szef hotelu.

Nawiasem dodaję, że od różnych urzędników
kolonizacyi przez cały czas słyszałem ten sam fra-
zes, jakby się wszyscy umówili.

— Powiedcież mi, do kogo mam list napisać? —
pytałem emigrantów.

— Kiedy się pan ofiaruje, to niechże pan napi-
sze do Michała Puziuka, albo do Józefa Cieślika,
wszystko jedno!... Prosimy pana o to bardzo, bo
oni téż, jako krewni, wybierają się na tę emigracyę
z przyszlą wiosną... A niechże ich przynajmniej
Pan Jezus uchroni od nieszczęścia!

Wszyscy, przeciągając z litewska, mówili bardzo poprawną polszczyzną.

— Ja napiszę o was w gazetach, ostrzegę wszystkich polaków, bo to moja powinność. Moi ludzie, uciekać z kraju zawsze jest brzydko, a w dodatku wielkie nieszczęście, gdy się emigrant w nowej ojczyźnie dużo spodziewa, a nic nie znajduje!

— Święte słowa! — powtarzali, a głównie mi przytakiwała garbata, jak uważałem, bardzo inteligentna dziewczyna.

Emigranci nasi mają w Brazylii piękne palmy, około hotelu w Desterro rosną: pomarańcza, kawa z białym kwiatem, banan; morze im szumi, góry dookoła panują, uwieńczone lasami; często mogą widzieć wspaniałe wschody i zachody słońca. Ale wlecze się za nimi smutek straszny, nędza ostatnia, co ich czynią najnieszczęśliwymi na świecie. Dajcie im za to wszystko kawałek, bodaj piasku, na ojczystej ziemi; pokażcie im niebo, bodaj pochmurne, lasy swoje; dajcie im naszą wierzbę, topolę, sosnę, zagon kartofli, a drugi taki, co to na nim i marchew, i mak, i słonecznik, i kukurydza... Tęby zamieniło ich ciężką niedolę na szczęście; bo ojczyzna jest jak zdrowie: „kocha ją ten, co ją stracił“.

Smutny powróciłem do hotelu, gdzie kelner, murzyn, nudził mię z najwyższą grzecznością, pytając nieustannie, czy czego nie potrzebuję. Przez trzy, czy cztery dni z rzędu odpowiadałem regularnie:

— *Canja e muito, muito cha!* (Rosół z kury i dużo, dużo herbaty).

Mam się lepiej, czuję w sobie siły, zdrowie i nadzwyczajną ochotę podróży. Ale jakże z wyspy wygnania uciec? Już mi przyszła myśl, ażeby nająć porządne czółno i z rybakim puścić się wzdłuż wybrzeży; ale jestem tchórz do wody, a żaden też z rybaków nie miał do tej wyprawy ochoty. Więc nachodzę pana delegata nieustannie, za każdym razem przepraszam za natrętność, ale jestem bardzo natrętny—oto moja polityka. On jest zawsze grzeczny zawsze powiada:

— Pan nie możesz być dla mnie natrętny.

Pozostaje mi dosyć wolnego czasu, przeto błędzę po bezdrożach, po górach, po lasach dziewiczych wyspy, uczę się botaniki i zoologii Brazylii. Franca niekiedy udziela mi objaśnień.

Brazylikańskie komary tak mi ścięły twarz, ręce, nogi, że chodzę opuchnięty.

W Desterro oswoiłem się nieco z dziką a niezwykle piękną przyrodą. Ale przecież nie po to pojechałem do Brazylii, aby się oddawać estetycznemu sybarytyzmowi.

Zaczyna mi się wreszcie mocno nie podobać to zwlekanie pana delegata, który powiada mi:

— Niedługo pan już będziesz mógł jechać, bo — jak wiem — okręt, na który wsiądziesz, przybył do portu Laguna.

Desterro ma trzy dzienniki, cztery kościoły; jest to miasto niebrukowane, a chodniki ma tylko tu i owdzie. Porządek robią tutaj ptaki, zwane *urubu*, sępy czarne, które chodzą po ulicach, jak u nas na wsi kury, gęsi, indyki, i pożerają nieczystości. *Urubu* jest dla brazyliana rodzajem murzyna sanitarnego.

Przy stole w hotelu zabieram znajomość z p. Henrykiem Rupp, właścicielem fazendy w tak zwanem Campos novos; hoduje on dużo bydła rogatego, koni, zakupuje w Uruguaju muły, podpasa je i sprzedaje. Opowiadał mi, że w San-Bento są polacy dawno osiedli, że im się dobrze powodzi, a zwłaszcza dwóm braciom Góry-Kamińskim.

Poznałem się także z pastorem protestanckim, który przez jakiś czas przebywał w Rosyi; ale odsuwam się od niego, gdyż jest zbyt konfidencyonalny, klepie mię np. po ramieniu i mówi:

— *Bester Herr Daschinsky.* — Użyłem fortelu mego przyjaciela Her. Be., który w takim razie powiedział komuś: „Przepraszam pana, ale mnie tu boli”; nie pomogło i pastor na drugi dzień chciał mię pogłaskać pod brodę.

Uwagę moją zwraca także człowieczek niski, dosyć gruby, z głową wyrastającą z pomiędzy ramion; mówi tylko po portugalsku, często się do mnie zwraca przy stole, a rzadko kiedy jest trzeźwy. Razem ze mną przyjechał z Rio de Janeiro na tym samym

okręcie, stanął w tym samym hotelu. Opowiadają mi, że to jest geometra, który odmierza kolonie dla polskich emigrantów. Ma być synem dużego jenerała; wygląda szujowato, palce mu z butów wyszły, bardzo brudny i ciągle się urzyna *cachasem* (napój z trzciny cukrowej), a przytém o niczém inném nie mówi, tylko o płci pięknej.

IX.

Listy delegata do dwóch szefów kolonizacyi.—Konsul brazylikański w Niemczech. — Znowu Cieślik. — Jak mię przyjął pan szef? — Baraki emigranckie w municypium Itajahy. — Moja rozmowa z emigrantami. — Legenda o mojej bytności w barakach.—Szeł kolonizacyi w Blumenau.—Zjadliwy artykuł w gazecie o mnie i o *Kurjerze Warszawskim* — Co mi mówiono, gdym wrócił do Rio de Janeiro?—Osada Blumenau.—Za kogo mnie mylnie wzięto? — Henryk Rosentreter z fabryki p. Szajblera w Łodzi.

Tak zeszedł mi tydzień czasu na niczem; narazie jednego dnia przybywa do mnie urzędnik z biura pana delegata i doręcza dwa listy: jeden z adresem „Illmo Sr. A. de A. F., chefe da commissao de Terras de Itajahy“; drugi „Illmo Sr. V. de P. R., chefe da commissao de Terras de Blumenau“.

Ponieważ listy były w kopertach otwartych, więc mi wolno treść ich przytoczyć, a choć to brzmi po portugalsku, mniemam jednak, że każdy zrozumie:

„Apresento vos o Sr. Adolf Dygasiński, correspondente do jornal russo-pollaco „Courrier de Varsovie”, que seio da Capital Federal recommendado pela Inspectoria Geral, e para ahi segne visitators nucleos colonias sujeitas a direçao desta commissao; para isto che facelitareis os passagem”.

Zdaje się, że jednocześnie któryś z konsulów brazylijskich w Niemczech wystąpił z ostrym protestem przeciwko moim korespondencyom i domysłom, jakich sobie na zasadzie wieści zasłyszanych pozwoliłem, przewidując, co czeka polaków w Brazylii.

Może ów protest konsula doszedł już z Europy do Rio de Janeiro, kiedy żegnałem Desterro bez lzy w oku; po ludzku pożegnał mię tylko França, brazylijski europejczyk.

Na parowcu znowu spotkałem geometrę polskich kolonistów, a był tu także Michał Cieślik, który mi ciągle powtarzał swą prośbę, abym zawiadomił jego rodzinę o losach emigrantów polskich w Brazylii. Do tej prośby mogę to tylko dziś dodać, że ogół polaków w Brazylii, zrozpaczony i nieszczęśliwy blaga swych ziomeków, aby zaniechali kroków lekkomyślnych i nie zwiększali sumy ogromnego nieszczęścia.

A więc jazda! Widzę ciągle przepyszne krajobrazy i przyroda bogata wynagradza mię jako tako za różne doznane zawody.

Przed wieczorem stanęliśmy w Itajaby i zaraz zwróciłem się z listem od delegata do szefa miejscowej kolonizacji. Jest to człowiek jakiś zgoryczony i widocznie źle uprzedzony do polaków. Rzucił się na mnie tak, jak gdybym ja emigrantów nasyłał do Brazylii. Krótko trwała nasza rozmowa, bo kto obelgi rzuca na moich ziomków, ten i mnie obraża. Zerwałem z rządem!

Na wszystkie oskarżenia i ostre uwagi, zwrócone ku polskim chłopom, odpowiedziałem szefowi hurtownie:

-- Nie może pan od polaków wymagać, aby byli dobrymi obywatelami rzeczypospolitej brazylijskiej, ponieważ byli złymi synami swojej własnej ojczyzny: oni z niej uciekli! Takim nie w głowie patryotyzm brazylijski!

C'est vrai! — mruknął, przesywając mię swemi małemi, czarnemi oczkami, które miały coś kłującego w sobie.

Wróciwszy do hotelu, wdałem się w rozmowę z właścicielem niemcem, który widocznie mógłby mi być dużo powiedzieć, ale należał do rzędu ludzi, o których się u nas mówi: „To Meternich!“

Gdym go pytał o kolonie nowe, o emigrantów, uśmiechał się zagadkowo, wzruszał ramionami i palił tytoń ze swjej porcelanowej fajki z panną malowaną.

— Ale pan masz konie? — spytałem.

— *O ja, ganz nette Thiere!*

Nająłem więc dwa konie i w towarzystwie młodego chłopaka, puściłem się w drogę do kolonii oraz emigranckich baraków w lesie.

Com tutaj widział i słyszał, przechodzi wszelkie pojęcie, jakie można mieć o ludzkiej nędzy. Stoi tam budynek, który nazajutrz i drugi raz z powrotem za dnia oglądałem: rudera czarna, pełna gnoju, w którym się poniewierają rodziny wychodźców; obrzydliwa woń bije zdaleka, a przy wejściu wstręt cię ogarnia; koszary w Desterro, to pałac wobec tego. Oprócz owego budynku, znajdują się tu jeszcze budy z gałęzi, gdzie mieszkają tacy, którzy już żadną miarą w budynku zmieścić się nie mogli. Posłanie z przegniłych liści drzew, ogniska przed budą — oto przytułek dla zdradliwie z ojczyzny wywabionych emigrantów.

A jakże wyglądają ludzie? Ostatniego rzędu żebraki! Znekani ciąglą włóczęgą, obrzydliwie brudni, obdarci, upadli na duchu, mają na ustach tylko słowa przekleństw i złorzeczeń dla Brazylii. Począwszy od higieny, a kończąc na stanie moralnym — upadek zupełny.

Ależ to dyabelnie potworna hańba cywilizacji, piętno ohydy, które sobie rząd brazylijski krzywdą ludzką wypala na czole.

W ten sposób nie ucywilizujecie tych borów, gór i pustyni waszych, lecz się zwyrodnicie jeszcze bardziej.

Cała ludzkość powinna ostro zaprotestować przeciw takiemu nadużyciu. Opowiadam szczerą prawdę, to, co widziałem własnymi oczyma.

Emigranci otoczyli mnie wkoło, wszyscy, jak jeden, błagali, zaklinali, abym im nieszczęśliwym szedł w pomoc. Ze wszech stron wywoływali oni swoje nazwiska, a każdy w nadziei, iż o jego losie doniosę krewnym, przyjaciółom, znajomym: „A może się ktoś, gdzieś zlituje i wykupi biedaków z niewoli brazylijskiej!“—Ta była myśl, utajona w tych prośbach.

Napróżno, bo do Brazylii nawet pieniędzy początkowo przesłać nie można! Biedak, co tutaj wpadł, już zginął, jeśli nie posiada energii żelaznej pracy, jeśli nie ma w sobie odporności dla uczucia tęsknoty za swą ziemią.

Wśród ścisłego ludzi i ciemności nocy za ledwie zdołałem ołówkiem zapisać niektóre nazwiska:

Józef Rutkowski, Ignacy Hernacki z Orła, a także *Augustyn Nowak* i *Antoni Więckowski* proszą, abym o ich smutnych losach, o wielkiej niedoli, zawiadomił ks. proboszcza *Ociechowskiego*. *Leon Szczepkowski* pragnie to samo donieść *Janowi Szczepkowskiemu* w Smolanach przez Mławę. *Jakób Gawroński* błaga, aby się z taką samą wiadomością zwró-

cić do ks. proboszcza *Smoleńskiego* w Drobinie. *Józef Szczepański* znów pragnie zawiadomić *Adama Szczepańskiego* w Drogiskach przez Mławę. *Grzegorz Rajewski* przedziera się przez tłum i woła: „Panie, zlituj się, napisz do *Marjana Rajewskiego* w Drobinie!“ To samo robi *Konstanty Zakrzewski*, prosząc, abym wieść o nim dał *Franciszkowi Pszczółkowskiemu* w Młodyminiu przez Mławę.

Niepodobna mi wszystkich zapisać, bo na to mało dnia i nocy. Przytaczam tylko nazwiska ludzi żywych, którzy sobą złożyli na moje ręce świadectwo prawdzie. Niech mi pan konsul brazylijski w Niemczech ¹⁾ nie mydli oczu, że Brazylia ma prawa; bo prawa potrzebują ludzi, aby ich strzegli, a wypadki takie, jak z „Trybuną“, emigrantami polskimi, świadczą, że prawo zamienić można na bezprawie. Nie znam brazylijskiej konstytucyi, lecz znam to, com widział.

Nie pamiętam tego dobrze, co ja mówiłem do emigrantów, gdyż to była chwila nadzwyczajnego wzruszenia, a gdy się za żywo czuje, trudno wtedy myśleć i pamiętać. To pewna, iż nie mogłem tych biedaków zachęcać do jakiegoś buntu, bo i na

¹⁾ Nie wiem, z którego miasta niemieckiego pisał pan konsul, bo mi to mówił tylko człowiek, który protest ów czytał.

cóżby im się to przydało. Radziłem im chyba to samo, co powtarzałem wszystkim: „Kiedyście sobie zamknęli drogę powrotu do kraju, a więc wam pozostaje tylko praca, która, może, złagodzi waszą niedolę.“

Jednakże bytność moja w koszarach owych rozniosła się wśród emigrantów po stanie Ś-tėj Katarzyny; od chłopów przeszła do ich tłómaczów, a ztamtąd do władz rządowych. Emigranci bo zrobili z tego legendę formalną o kimś takim, który się zjawił w nocy w barakach Itajahy — rodzaj śpiącego rycerza. Sam słyszałem potem, jak chłopci opowiadali mi w Masarandubie: „Przyjechał i przepowiadał wyzwolenie z Bryzolii na *przyszłą* wiosnę.“

Gazety podobno mnie osmarowały strasznie; mówię *podobno*, gdyż przypadkiem jeden tylko taki artykuł wpadł mi w ręce.

Nazajutrz, jakby nigdy nic, spotkałem się z cierpkim panem szefem i on swoje, a ja swoje. Towarzyszyłem mu przy ładowaniu emigrantów na okręt, ze 170-ciu wychodźcami, poczem ruszyłem w drogę.

I znowu dzień zeszedł na wodzie. Parowiec włókł za sobą ogromną łódź odkrytą, a na niej polaków, napchanych, jak śledzie; dla tych ludzi była to ciężka katusza przy pałącym słońcu i jakich 30° Reaumura.

Jakże się bardzo różni od szefa w Itajahy szef z Blumenau! Człowiek, jakby nie urzędnik: wy-

kształcony, skromny i dobry. Ale cóż, on powinien być inspektorem kolonizacyi, a nie szefem, który potrzebuje żelaznej energii. P. V. de P. R. przyjął mnie nie urzędowo i przyobiecał wysłać nazajutrz do nowopowstających polskich kolonij.

Rozstawszy się z nim, pomyślałem o tém, aby siły pokrzepić jakim posiłkiem, uporządkować swoje notaty i wypocząć. Zaledwie przybyłem do hotelu, spostrzegłem na stole w sali jadalnej gazetę i w niej wyczytałem zjadliwy artykuł przeciwko *Kurjerowi Warszawskiemu*, a głównie przeciw wyprawie mojej w celu zbadania na gruncie spraw kolonizacyi. Mówiono tam o mnie, jako o tajnym ajencie, który w chłopskiej sukmanie myszkuje po Brazylii i jakoby paraliżuje szlachetne i dobroczynne usiłowania rządu. — „Ob, gdybym ja to mógł skutecznie uczynić!“ Ten artykuł był uszczypliwy i pełen insynuacyi.

Skorom już swoje zrobił i wrócił potem do Rio de Janeiro, ktoś (nazwiska nie wymieniam) tak do mnie przemówił:

— Obawialiśmy się tu, czy pan wrócisz.

— Z jakiego powodu?

— No, po artykułach dziennikarskich, oskarżających cię o tajemne postępowanie i naruszanie porządku publicznego, policya rzeczypospolitej na śladach pańskich była czynną w stanie Ś-ěj Katarzyny...

— Doprawdy? A to duży zaszczyt, iż rzeczpospolita zajęła się moją osobą!

— Nie bądź pan śmiałkiem, bo to właśnie jest najniebezpieczniejsze!... W policyi brazylijskiej jest dużo wyrzutek, gotowych na wszystko.

— Jeżeli w Brazylii uczciwi ludzie mają się obawiać łotrów, to kogóż się łotrzy będą obawiali?

Odstąpiłem tu na chwilę od toku opowiadania dlatego, ażeby niektóre wypadki mojej wędrówki były bardziej zrozumiałe. Nazajutrz nie padał, lecz potokami lał się deszcz z nieba. Z ganku tylko i z okna przypatrywałem się osadzie Blumenau, którą możnaby nazwać niemieckim rajem w stanie S-těj Katarzyny. Wszędzie niemiecka czystość, niemiecki porządek, a upiększa to wspaniała przyroda podzwrotnikowa prawie. Całe Blumenau wygląda jak szereg willi, których właściciele napracowali się przedtem, a teraz sobie żyją dostatnio i spokojnie. W domach, czy na ulicy, słychać niemiecki język tylko, widać niemiecki obyczaj; w hotelu można tu sobie zadysponować obiad taki, jakby np. w Bremie.

Usiadłem w oknie i przyglądałem się przepysznej alei palmowej, któraby mogła upiększyć najwspanialszą rezydencję. Wtém podszedł do mnie jakiś człowiek, mogący liczyć 35 lat wieku, i po polsku zapytał mię, czy tutaj mieszka konsul od emigrantów, który wczoraj z Warszawy zjechał do

Blumenau na statku parowym. Odpowiedziałem na to, że wprawdzie jestem z Warszawy i przyjechałem wczoraj na parowcu, ale nie jestem i z pewnością nigdy już nie dojdę do godności konsula.

— Niech no pan mówi prawdę, bo ja mam ważne rzeczy do zeznania!

— Jeżeli macie coś do zeznania przed konsulem, to nie zeznawajcie tego przedemną, bo ja jestem człowiekiem zwykłym, bez znaczenia—odpowiedziałem, myśląc w tój chwili o artykule, przytaczanym w gazecie. Muszę tu nadmienić, że fizyognomia człowieka robiła na mnie złe wrażenie.

Stał przez chwilę, nic nie mówiąc, nareszcie znów się odezwał:

— I jakże, niczego się od pana nie dowiem? Może się pan boi, żebym przed brazylianami nie wygadał?

— Oho!—myślę sobie. — Ludzie przypuszczają, że działam tajemniczo...

Przyznam się, iż mię paliła ciekawość, więc z kolei zapytałem:

— A któż wy jesteście?

— Jestem emigrant, pochodzę z miasta Łodzi, nazywam się *Henryk Rosentreter*, pracowałem w fabryce pana Szajblera przez lat czternaście. Pan Szajbler odradzał mi emigracyi, alem go nie usłuchał...

Nie na to nie odrzekłem, wyczekując dalszych zwierzeń. On znowu przez czas jakiś milczał, zerkając na mnie z boku, a nareszcie tak dalej powiedział:

— Wybiera się tu do pana cała kompanija tam z baraków, będzie z 500 ludzi: powiadają, że nam pan koniecznie na tę biedę poradzi.

— Zkądże wam przyszło do głowy, że ja jestem konsulem?

— Tak wszyscy mówią; powiadają, że pan przywiózł ze sobą pieniądze duże na powrót emigrantów do Polski... Inni zaś mieli słyszeć od samych brazylianów, że pan tak tylko przewąchuje, jak gdzie co jest, a potem będzie z tego wojna...

— Oj, ludzie, ludzie, jacyście wy głupi — zawołałem. — Przyjechałem do Brazylii tak samo, jak każdy z was, tylko że za paszportem i z pieniędzmi na powrót do kraju.

— Proszę pana, bo nam dużo nie potrzeba! — zawołał Rosentreter. — Jakbyśmy dostali po trzydzieści marek na głowę, to my sobie sami zrobimy łódź taką wielką z żaglem i, bodaj o głodzie, wrócimy.

Naiwność taka nietylko rozproszyła moje podejrzenia, lecz mię rozrzewniła.

— To, co zamysłacie zrobić — rzekłem — może jest i dobre, choć nie myślę, żeby w łodzi można było przepłynąć takie ogromne morze; ale ja z własnej kieszeni mogę tylko na początek złożyć w wasze ręce bardzo małą sumkę.

Mój interlokutor znowu milczał, wystając ciągle przy oknie, a potem rzecze:

— Skoro pan ma wrócić do Polski, to niechże pan pomówi o mnie z panem Szajblerem; bardzo dobry człowiek.

— Słyszałem o tém, lecz go nie znam: zaręczam wam tylko, że moją rozmowę z wami wydrukuję w gazetach.

X.

Itajahy (czytaj Itaža-ii).

Dziś, o godzinie 4^{1/2}, przybyłem do Itajahy, miasta przy ujściu rzeki Itajahy do Atlantyku.

Okolice składa się z trzech kolonizacyjnych municypalności: Itajahy, Brusque i Tijukas.

Krótką tylko miałem rozmowę z p. komisarzem kolonizacyi, Victorino da Fonseca; jest on zgoryczony dla Polaków i jak najgorzej o nich mówi. Zaprosił mnie na jutro, na godz. 11-tą rano, do swego biura; ale ponieważ uważałem, że się niewiele dowiem, więc zaraz w hotelu nająłem konia i, nie tracąc czasu, w towarzystwie pół krwi Europejczyka, chłopaka lat 17-tu, puściłem się na kolonie zaraz po godz. 5-tej.

Jest prawie godz. 11-ta, gdym powrócił; ale nie kładę się spać, ażeby wam dziś jeszcze opisać, co znalazłem.

Już o kwadrans drogi za miastem dostajesz się w okolice bagnistą i zarosłą gąszczem wijących się, jak węże, krzewów: wszystko się splata, płące, wiąże, a czasem tylko błysnie tu i ówdzie woda; jest to dolina rzeki, poza którą na niebieskiem sklepieniu rysują się góry z zamglonemi wierzchołkami.

Świerszczenie miliona piewików, śpiew ptaków rozlegają się dokoła; połyskują barwą piękne kwiaty, przelatują pyszne motyle. Płacę za konia 5 milrejsów *), więc go nie oszczędzam; przedzieramy się przez jakieś ścieżki, strugi, niekiedy konie grzęzną.

W godzinę już byliśmy w miejscowości suchej, nieco wyniesionej ponad dolinę. Las i las tylko, lecz las rozkoszny, wonny, gwarny od śpiewów ptasich, pełen ruchu.

Pośpieszając, pierwszą osobą, którą spotkałem, była kobieta na koniu, ubrana w kapelusz, wiozła jakiś kosz i pełno paczek.

Jest to kolonistka, która z miasta wraca do domu ze sprawunkami.

Potém już z gąszczów wynurzała się kolonia za kolonią.

Są to małe domki z oknami bez szyb, a czasem tylko z okiennicami; strzecha czasem z suchych liści palm, czasem dachówka bardzo gruba, czerwona. Około domu ogród, w nim banany, pomarańcze,

*) Według kursu trochę więcej niż 5 rs.

drzewo kawowe, brzoskwinie; w polu—kukurydza, dynie, fasola i t. zw. pataty, t. j. rodzaj kartofli. Żadnych innych zabudowań tu niema; krowy, kozy, trzoda chlewna — wszystko koczuje pod gołym niebem.

A poza kolonią znowu las, znowu gąszcze, przez które nieraz trudno się przebić.

Minęliśmy około 20—30 tu takich kolonij i wydostaliśmy się na przestrzeń, jaką u nas widzieć można po wycięciu lasu. W oddaleniu gdzieniegdzie dym bucha kłębami, pali się — to nowy kolonista na wyznaczoném sobie terytoryum rozpoczyna gospodarckę od spalania wszystkiego, co rośnie na tej dziewiczej ziemi.

Jednocześnie żwawiej pędził teraz koń, naglony przezemnie, i wnet dotarłem do brzegu lasu. Tutaj w budach, w ruinach jakiegoś starego domostwa, mieszkają jacyś ludzie.

Dosyć byé tydzień w Ameryce południowej, ażeby potém nieomylnie rozpoznawać fizyognomię polaka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem do jakiegoś człowieka, który stał przy baraku. A ten zdjął czapkę, szeroko otworzył usta i w parę minut byłem tak oblężony przez ludzi, że koń mój kroku zrobić nie mógł.

Nie macie wyobrażenia, ile tu łez popłynęło w przeciągu pół godziny...

Powiedziałem im, że przyjeżdżam z wizytą do nich z Warszawy, aby zobaczyć, jak się mają.

Dopiero jęki rozpaczy, krzyki i płacze!...

Na wspomnienie kraju ludzie rzucają się do mnie, jak szaleni, przeklinają chwilę, w której opuścili ojczyznę, złorzeczą agentom, doradcom—słowem mam przed sobą scenę, której słowami nie jestem w stanie oddać...

— Jak pan wróci, niech pan da znać od Józefa Szczepańskiego Adamowi Szczepańskiemu w Drogiżkach przez Mławę, żeby się tu nie ważył przybywać, niech go Matka Boska broni! — woła jeden.

— Panie, panie, zlituj się nademną, napisz do proboszcza ks. Ociechowskiego w Orlu, stacya Izbi-ca; niech powie ludziom od Józefa Rutkowskiego i Ignacego Hernackiego, od Augustyna Nowaka, Antoniego Więckowskiego i innych, żeśmy strasznie nieszczęśliwi! Żyjemy, jak zwierzęta w lasach, ani ludzi, ani kościoła!

— Całe życie będę służył darmo! — woła jakiś chłop szpakowaty, lecz tęgi jeszcze — a niech kości na swoim cmentarzu złożę.

W ekstazie dziwnej jakiejś tłoczą mi się do rąk, do nóg, do szyi, nie mogę sobie dać rady z rozzalonymi i nieszczęśliwymi ludźmi.

— Panie, dzieci mi wymarły! — woła jakaś kobieta, która, w miejscu oczu, ma tylko dwa czerwone doły.

— Stasia umarła — wykrzykuje ktoś znów. —
Niech pan da znać do Smolan przez Mławę do Jana
Szczepkowskiego od brata Leona.

Tu znowu Jan Gawroński ciśnie się do mnie
przez tłum i woła:

— Z nieba cię tu Pan Bóg zesłał, mój panie,
napisz odemnie do proboszcza Smoleńskiego w Dro-
binie, opowiedz mu o naszej strasznej nędzy!... —
Boże, mój Boże!

Nie skończyłbym wyliczać wszystkich próśb,
błagań, zaklęć, które wyszły z ust tych nieszczęśli-
wych.

Czemuż nie jestem bogatym, bardzo bogatym,
abym mógł ziomeków swoich wyprowadzić z niewoli
brazylikańskiej! Stracili kraj i w cierpieniu nauczyli
się go kochać.

Rozrzuciłem trochę monety, papierosy swoje,
i ze ściśniętym sercem puściłem się ku drugim takim
samym barakom. Tłum biegł ewałem za moim ko-
niem i przy drugich barakach ta sama scena. Byli
tutaj także emigranci hiszpanie; ci wychodzili przed
baraki, w pasach swoich, kaftanach, i z podziwem
przyglądali się scenie.

Co robią tutaj ci ludzie? Oto, dano im możność
wybrania sobie prowincyi, czyli stanu; ale gdy przy-
bywają na miejsce, spotyka ich zawód: ziemia albo
jest jeszcze niewymierzona, albo wcale niezdatna
na kolonie; więc ich trzymają miesiąc, dwa i dłużej,

a potem posyłają gdzieindziej, gdzie się powtarza to samo.

Sądzę, że moich ziomków powinnyby to, co tu piszę, nauczyć przezorności. Nie ja dziś mówię, lecz sami emigranci chłopi.

Jutro wyjeżdżam ztąd do najbardziej podobno kwitnących kolonij około Blumenau w stanie św. Katarzyny, zkąd następnie pojedę do stanu Parana.

12-go Grudnia 1890-go r.

XI.

Przepowiednia właściciela hotelu. — Wieści w agencji żeglugi parowej. — Moi towarzysze i podróż. — Jens Jensen i Wolff. — Droga do Masaranduby. — Zarobki emigrantów i koszt ich życia. — Obračunek i wypłata. — Baraki emigranckie w Masarandubie. — Barak, gdzieśmy nocowali — Moje ranne odwiedziny u emigrantów. — Rozmowa z pomocnikiem szefa. — Kolonie bez domów i kolonie z domami. — Obywatel w Europie i w Brazylii. — Pomoc, której rząd udziela emigrantom. — Co mówią chłopci o ziemi w Brazylii? — Gdzie mieszka kolonista? — Porządek niemiecki. — Podczas wypłaty. — Prośba na piśmie emigrantów polskich.

Na drugi dzień wstałem rano o godzinie czwartej; deszcz ciągle lał, jak z cebra. „Nic nie pomoże — myślałem — jechać i tak muszę, trzeba raz koniecznie zobaczyć, jak się wylęga ta kolonia polska i co z niej wyrasta potem.“

Cztery konie, zaprzężone do wehikulu, przypominającego bryczkę naszą, oczekiwały przed hotelem, którego właściciel, Niemiec, przepowiadał mi ciągle drogę, jakiej jeszcze w życiu nie widziałem.

— Masz pan jechać do Masaranduby—mówił— jest tego wprawdzie czterdzieści kilometrów wszystkiego, ale po gościńcu europejskim łatwiej przejechać trzy razy dłuższą przestrzeń: błoto, urwiska, brak mostów... *alles wild!*

Zanim opuściłem Blumenau, poszedłem przedtém do agencji żeglugi parowej, ażeby się wywiedzieć, czy i kiedy w tych czasach przybywa do Itajaby jakiś statek parowy (Blumenau ma tylko małe parowce, które kursują po rzece Itajaby assù i komunikują ją z oceanem).

Musiałem się z tém liczyć, znając komunikacye brazylijskie, ażeby nie pozostać bez możności wyjazdu przez przeciąg jakich dwóch tygodni.

W agencji, zarządzanej przez kobietę, Niemkę, powiedziano mi, że 21-go Grudnia, stosownie do otrzymanych wiadomości telegraficznych, przybywa do Itajaby taki a taki statek parowy, a jeśli na nim teraz nie odjadę, to będę musiał na inny czekać aż do 2-go Stycznia.

Ponieważ to była data 15 go Grudnia, byłem więc panem czasu i w podróży swój mogłem się odpowiednio stosować.

Jadę nareszcie do upragnionej przez siebie Masaranduby! Towarzyszy mi pan L. de M., pomocnik szefa kolonizacyi i młody człowiek, pomocnik pomocnika. Są to ludzie z najlepszymi chęciami, ale

niezdary—kanceliści i nie więcej, a ostatecznie tacy wykonywają w Brazylii dzieło kolonizacyi.

Błoto tutaj większe, aniżeli u nas w okolicy Buska, Wiślicy, Proszowic, Skalbmierza. Na promie, przypominającym okręciki, które w Warszawie puszczają dzieci po rynsztokach, przepawiliśmy się przez rzekę Itajahy assù (wielką), a około 10-jej przybyliśmy do miejscowości zwanój Itapavo, gdzie się przy drodze znajduje oberża niemiecka Jensa Jensena. Nie powtarzam tu swój rozmowy z urzędnikami, gdyż płytkość jej kwalifikuje się do zatracenia na wieki, o ile chodzi o kolonizacyą i emigracyą. Wysiadłem za to z wehikułu, zbierałem rośliny szczególne, wypytywałem o nazwy i obyczaje spostrzeganych ptaków, owadów i t. d. Odpowiedzi bywały często wątpliwe.

Jens Jensen, właściciel oberży w Itapavo, przed 25-u laty zbiegł z okrętu jako majtek i przybył tutaj, jak mówią, za ledwie w butach; dzisiaj jest to człowiek bardzo zamożny: posiada znaczny majątek w ziemi, zwierzętach domowych, w dobrze zaopatrzonym sklepie i w gotówce.

Wszystkiego u niego dostaniesz: czarnój fasoli, masła, kukurydzy, mąki, różnych nasion, rzemienia, tkanin bawełnianych, lnianych, wełnianych, jedwabnych, mięsa, obuwia, kulbak, papieru, książek do nabożeństwa, elementarzy, nawet tablic do nauki poglądowej, a wszystko niemieckie. Oglądałem je-

go zasobne gospodarstwo i widziałem skrzętną pracę całej rodziny; każdy jój członek coś robi. Naturalnie, każdy przedmiot kosztuje tutaj najmniej trzy razy tyle, co w Europie.

Przed samym wieczorem zajechaliśmy do innėj jeszcze oberży, położonėj wśród dzikich gór i lasów, a należącej do Wolffa, także Niemca.

Zmęczone konie wytchnęły tutaj nieco i potém, późnym już wieczorem, dobiliśmy się nareszcie do nowych kolonij w Masarandubie.

Jest to szczyry bór, porastający na górach. Rósł przez długie wieki, a człowiek nigdy się tu jeszcze nie zapuszczał z toporem.

Ah, co za drogi! Nie łatwiejszego jak kark skrócić, lub utonąć w błocie.

W najnowszych czasach drogę Masaranduby wykończali i ulepszali polscy emigranci; chciano tych ludzi zająć, aby im złe myśli nie przychodziły do głowy, a przytém dać zarobek. Rząd płacił za dzień roboczy 1 milrejsa i 400 rejsów, co wynosi prawie 1 rs. 50 kop.

Dla nas wydaje się to bardzo dobrą zapłatą; trzeba jednak pamiętać, że za te pieniądze chłop z rodziną zaledwie się tutaj wyżywić nędznie może, jedząc czarną fasolę, kraszoną starym szmalcem, i kawałek lichego chleba.

Pomocnik szefa przywiózł wory drobnych pieniędzy, miedziaków, niklaków, ażeby polskim robo-

tnikom wypłacić zarobki ich za Listopad. Przeglądałem listę płacy i widziałem, że niektórzy zarobili około 40-u milrejsów. Zwracam tu uwagę, iż kobiet nie przyjmuje się do roboty, a młodzież mężką dopiero prawie od 20-go roku życia.

Robotnik pracuje i podczas pracy żyje na kredyt, biorąc od miejscowego oberżysty wszystko, co mu jest do życia potrzebne.

Z tego rośnie dług, który często bywa większy od zarobku, zważywszy, iż ów kolonizacyjny oberżysta, K., jest bez konkurencyi i nielitościwie obdziera emigrantów.

Do oberży Wolffa, a tém bardziej Jensena, chłopci mają za daleko; mimo to, łączą się solidarnie i od czasu do czasu wyprawiają dwóch lub trzech z pomiędzy siebie, aby ci przynosili żywność od Wolffa. W czasie, gdy urzędnik odbywa obrachunek i wypłaca zarobki, przychodzi do dużych awantur, oberżysta bowiem jest tu w takich razach zawsze obecny i z rąk urzędnika zabiera pieniądze za to, iż żywił emigranta. Trzeba słyszeć te skargi, przekleństwa i wyrzekania chłopów na zdzierstwo i oszustwo oberżysty K. Tłómacz rządowy porozumiewa się wtedy z tłumaczem emigranckim (obaj są Niemcy i stronę oberżysty zwykle trzymają), poczem urzędnik sprawę rozstrzyga, oddając oberżyscie jego należność, a chłopca odprawia się zwykle z kwitkiem.

Muszą mi panowie urzędnicy brazylikańscy przyznać, że protestowałem przeciw nadużyciu i zwracałem uwagę nie tylko podwładnych, lecz pana szefa i pana delegata. Rzecz prosta, nie powtarzam tu plotek rozsiewanych, ponieważ mi nie chodzi o skrzywdzenie cudzego honoru; piszę o tym jedynie, co widziałem. Czy gazety brazylikańskie i konsulowie brazylikańscy teraz także cisną mi w oczy frazes: „Brazylia ma prawa!“?

Byłem w barakach, gdzie emigranci wyczekują na kolonie. Pan pomocnik szefa chciał złagodzić moje wrażenie na widok owej budy bez ścian i o bardzo lichym dachu z liści palmowych; podobało mu się kilkakrotnie nazwać zabudowania tego rodzaju: „*une maison rustique*“. Psy u nas w daleko lepszych budach sypiają!

— Nasz klimat — mówił pan pomocnik — wymaga tego, aby w domu było dużo przewiewności! Chodzi o zdrowie owych ludzi.

— A bodaj ciebie kartacze były, idyoto! — pomyślałem. — Ludzie gniją w błocie, a on mi prawi o przewiewności!

I my także mieszkaliśmy w baraku, w którym przez dach gwiazdy widać, a ściany zrobione są ze szczebli, jak w klatce; o suficie, podłodze, oknach — mowy niema. Ale dla nas to było sportem czasowym, a nadto mieliśmy na czem i przy czem usiąść, do spania służyły nam tak zwane *tarimy*, to jest

cztery kolki, wbite w ziemię i na nich ułożona rama, czyli drabina, poprzeplatana sznurkami *Cipao* (czytaj „sipo”); jest to roślina pasorzytna, która wylazi na drzewa, ssie je, a z ich wierzchołków opuszcza się na dół długimi sznurami).

Prawie całą noc nie spałem; zdrzemnąłem się tylko trochę około godziny 2-jej po północy, a przed wschodem słońca, mimo sloty, byłem już w lesie, aby widzieć zjawiska miejscowej przyrody. Następnie udałem się samotny do emigranckich baraków, gdzie właśnie baby pod gołym niebem zaczynały rozniecać już ogniska. Wszczałem rozmowę z nimi i wnet usłyszałem skargi, żale, utyskiwania. Było tam dużo chorych dzieci: jedne cierpiały na krwawą biegunkę, inne miały po całym ciele bąble z powodu upałów; oprócz tego, dużo widziałem chorych na oczy.

Rozmawiam ja tak z rodakami o ich terażniejszej doli, wypytuję o sposób życia,—spojrzę, a tu pomocnik pana szefa stoi za mną w zabłoconych pantoflach i w płaszczu, którego użył jako szlafroka. Ah, to nic, to nadzwyczajna uprzejmość tego pana, grzeczna troskliwość, aby mię nie zostawiać samego!..

— *Obrigado!* — rzekłem po portugalsku (znaczy: dziękuję).

— Co oni też panu mówią?

— Powiadają, że już od kilku miesięcy przyjechali do Brazylii, a władze rządowe trzymają ich w lesie i dotąd nawet nie są odmierzone dla nich kolonie.

— Ziomkowie pańscy, przyznać trzeba, są ludźmi pracowici; ale jacy pretensjonalni! Nieustannie się na coś skarżą i czegoś wymagają!

— Brakuje im, jak widzę, wszystkiego: zdrowia, szczęścia, są obdarci, głodni i nie mają gdzie głowy schronić! W naszym kraju po powodzi, po pożarze, mogą się ludzie znaleźć w takiem położeniu, lecz przez krótki czas tylko.

— Czy pan znajdujesz, że rząd nasz działa ze złą wolą dla tych ludzi?

— Wola rządu może być bardzo dobra, ale położenie biedaków jest bardzo smutne.

— Przybędą wkrótce geometry, odmierzą im kolonie, rząd da każdemu narzędzia potrzebne do karczowania i uprawy ziemi, zaliczy 50 milrejsów na postawienie domu, i za jakie trzy, cztery miesiące ludzie ci będą zupełnie szczęśliwi.

— Racz mi pan powiedzieć, jakie to narzędzia otrzymują koloniści od rządu?

— Topór, rydel i graczę.

— Czy to rolnikowi w Brazylii wystarcza?

— Najzupełniej.

— A teraz zechciej mi pan pokazać kolonię no-

wą, to jest kawalek gruntu, odmierzonego dla emigranta.

Przeszliśmy kilkaset kroków i towarzysz mój ukazał mi na pochyłości góry sporą przestrzeń ziemi, na której leżały ogromne kłody drzewa, pościannego i opalonego przez ogień; sprawiało to wrażenie wielkiego pogorzelniska.

— Oto — rzekł — kolonia odmierzona i już osadzona, to jest oddana przez rząd koloniście, który właśnie pościął drzewa, czekał, aż nieco przeschnę na ziemi i zaczął je wypalać. Teraz pozostaje mu tylko wzruszyć ziemię motyką, graca i sadzić: fasolę, kukurydzę, mandjokę, inhames (czytaj: „injams” — (kartofle dla trzody chlewniej), może i dynie, a za kilka miesięcy będzie miał własną żywność. Później znowu wypali część drzewa leżącego i będzie więcej jeszcze siał, sadił...

— Ileż ta przestrzeń ma powierzchni?

— Zwykle odmierzamy 1,115 metrów boku długości, a 250 do 275 boku szerokości (jak mi mówiono, wynosi to około 150 naszych mórg).

Uważałem, że zdaleka szli za nami chłopci, a gdy podeszli bliżej, bardzo mi się przyglądali.

Urzędnik kolonizacyi później drugą i trzecią taką samą kolonią mi pokazywał, a przytém opowiedział, że kolonista, wypłaciwszy rządowi oznaczoną ilość pieniędzy (250 milrejsów) w ciągu lat pięciu, zostaje właścicielem gruntu. Jeżeli się atoli

kolonista nie wypłaca regularnie, a rząd widzi jego niemożność, to splata może się ciągnąć przez znacznie dłuższy przeciąg czasu.

— Rząd brazylijski chce tanim kosztem zyskać dla kraju obywateli i sądzę, że tego nigdy nie dopnie! — rzekłem.

— Dlaczego pan to mówisz?

— Bo uważam, iż uobywatelnienie człowieka jest sprawą wychowania jego w ciągu wieków, jest dziełem pewnych procesów psychicznych, których w ludzi nie można wmówić, lecz muszą one same się wytworzyć, a noszą te procesy nazwę patriotyzmu. Wy w Brazylii uważacie to za sprawę kupiecką, opartą na umowie rządu już nie z emigrantem, lecz z agentem, który emigranta oszukuje i jako obywatela dostarcza.

Właśnie się zbliżyli chłopci, więc się ku nim zwróciłem, mówiąc:

— Ano, macie to, czegoście chcieli: ziemię!

— Jaka tam ziemia! — rzekł jeden z nich, drapiąc się w głowę. — Pałygi jacy, wertepy, u nas nikt by na to nie spojrział... A dyć z tych kolonij, co on je tu panu pokazuje, to gospodarze precz pouciekali i niewiadomo gdzie się podzieli!... Jednego, Zarębowicza, to tu wąż okrutny ukąsił i człowiek o mało życia nie stracił. Palili mu nogę rozpaloném żelazem, a jak ozdrowiał, zabrał żonę,

dzieci i w świat poszedł. Oj, co tu za gady i robaki, niech Bóg broni!

Te wszystkie kolonie, którem dotychczas oglądał, były bez chat; tu i owdzie tylko zauważyłem jakby ślady przygotowawcze do postawienia domu.

Udaliśmy się następnie na kolonie, gdzie już i chaty stały, a pomiędzy opalonemi kłodami, gałęziami, bryłami skał, dawała się spostrześć podrosła już kukurydza, fasola, ładne listki mandjoki. Trudno sobie wyobrazić budynek nędzniejszy od chaty takiego brazylijskiego kolonisty nowicyusza. Niema tu żadnych ścian, tylko sześć słupków — po trzy w jednym rzędzie — i dach z liści palmit. Właściciel chaty i koloniści mieszkają na strychu, to jest pod dachem, dokąd się dostają po drabinie; poniewierają się tam ludzie na przegniłym mchu i liściach. Lenistwo i nieochętność polskiego chłopca dogadza poniekąd Brazylijanom, którzy są także flejtuchami i próżniakami skończonymi.

Na dole w takiej chacie mieszkać niepodobna z powodu węzów, jaszczurek i obrzydliwych ropuch, które swe zimne ciała pragną ogrzać przy ciepłokrwiście człowieka. Choć to są stworzenia niewinne, jednak nieprzyjemne.

Jedynie w koloniach niemieckich znajdowałem porządek i ślady dobrobytu, zwłaszcza w koloniach,

których byt ma datę nie wcześniejszą, jak lat czterech do pięciu. Ale bo Niemcy przybywali do Brazylii nie wabieni obietnicami agentów, lecz z własnej woli i z jakimi-takimi środkami, co ma ogromne znaczenie.

Kolonie owe porozrzucane są jedna od drugiej o wiorstę i dalej. Nachodziwszy się dosyć, wróciłem do baraku urzędowego, gdzie miano dokonywać wypłaty. Wyglądam oknem, bawię się z pięknym psem, a swoją drogą mam ucho na to, co się dzieje przy wypłacie. Wtém do okna podchodzi chłop i mruga na mnie porozumiewająco. Zrozumiałem, iż chodzi o jakąś tajemnicę i wychyliłem się za okno, sądząc, że nastąpią zwierzenia; tymczasem emigrant sięgnął do zanadrza, wyjął owinięty w szmatę kawałek papieru i to mi doręczył, mówiąc:

— Widziewa przecie, coś pan nie jest zwyczajna osoba, emigrant. Rozmawiasz pan z ludźmi, uważasz na różne rzeczy, a osobliwie o dzieci się dopytujesz, a z bryzolianów zaś nic sobie nie robisz. My też nie głupi, żeby nie zrozumieć...

Położyłem palec na ustach na znak milczenia, gdyż tłumacz stał w pobliżu, a papier schowałem do kieszeni i, co w nim było napisane, wiernie tu oddaję:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i nasza Jasnogórska Panienska! Kłaniamy się pokornie panu z Polski, a prosiewa wszyscy, siła nas tu przyjechało, żeby można było jak najprędzej z Bryzolii wyjechać i chociaż do Bremy się dostać, to dalej już na piechty pójdziwa.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jakaś pan jest katolik na równi z nami Polakami w obcej ziemi, to musisz uważać, co ludzie wytrzymać nie mogą bez kościoła i katolickiego księdza, takiego, co-by naukę i wszystko kóli wiary po polsku mówił. Opisywane nam było tam w Polsce, że w Bryzolii jest polska wiara i równość, a tu niema polskiej wiary i niema równości. Wszystko pomieszane z niemcami i Bóg wie jakimi narodami.

„Jakoś pan katolik, więc masz rozum dobry na to, że człowiek z Polski tak nie wyżyje. Niemcy, murzyny, powinny być osobno, a Polaki osobno, skoro ma być równość. Dlatego, że jak u nas jest święto, niedziela, czy jakiej Matki Boskiej, to oni robią, a z nas się naśmiewają; przychodzi do obrazy Pana Boga, cierpliwości zbraknie nieraz, jako jest niewytrzymanie ludzkie z nimi — trzeba sobakom nakłąć, a jeden rwał się już do prania, jeno drudzy zbronili.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Nim do Polski wróciewa, żeby nam postawili choć nie

dużą kapliczkę i koniecznie księdza z Polski wezwali, bo my tego niezwyczajni: — bez kościoła i bez księdza nie wytrzymawa. Prosiwa pana o to pokornie.

„A drugie, że dużo jest o tём gadania, co nam tu dają robotę i płacą: jedno życie z ów-tego zarobku mamy, na ten przykład kilo *szwarce bone*, trochę śmierzdzącej okrasy i rzadko kawałek chleba do tego; co znaczy chleb taki ich tutaj!... A jak duża familija, to wszyscy wstają od miski głodni. Kupić czego na koszulę lub na ione obleczenie, albo obuwie na nogi, nie mamy za co, choć nam wszy ziemne powgryzały się w podeszwy i wszędzie: ani ustać, ani chodzić nie można—takie psie dusze dokuczliwe.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dzieci, które się porodziły, a wszystko jedno, jakby prosięta—bez chrztu świętego toto zostaje... Kaj tam od nas kościół, aż w Blumenau. Z tego zarobku furmanki przecie nie najmie, bo-by człowiek zdechł z głodu, jeno małe leży tak bez imienia i bez patrona swego w niebie, aż się serce ściska, że katolik nikięj pogan żyć musi.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

„Człowiek nie jest wieczny, jeden drugi umiera, osobliwie tu w Bryzoli nic nam nie lubuje—ani woda, ani strawa. Jako na szyfie nieboszczyka w worku do morza wrzucali nocą, bez niczyjjej wiadomo-

ści, że nawet syn nie mógł się krzyżem świętym przeżegnać, kiedy mu zmarł ojciec, tak i tu trzeba zmarłego katolika nieść do boru i grzebać gdzieniebądź, bez pokropienia święconą wodą. I cóż taka dusza warta na tamym świecie, kaj się ją na równi z psem chowa?

„Kłaniamy się pokornie panu z Polski i prosiewa o to wszystko, żeby było, jakoś pan jest wierny katolik na równi z nami.“

XII.

Nieczęste są moje korespondencye, bo nie piszę z kraju kolei żelaznych i rozwiniętej żeglugi parowej. Z Rio de Janeiro płynie się blisko przez dwa tygodnie wodą do Blumenau, a potem zostaje jeszcze 40 kilometrów drogi lądowej do Masaranduby przez istne dyable mosty; ale to się opłaca, gdyż jest co widzieć.

Stolica Brazylii, Rio de Janeiro, żyje życiem podobnym do tego, jakie się u nas widzi w święta na Saskiej Kępie: fajerwerki, muzyka, powywieszane wszędzie jakieś chorągiewki, banie z kolorowego papieru, nieustanny zgiełk dzwonek, w które zaopatrzone są muły tramwajowe, gwizdania i wesołe wykrzyki.

Co innego prowincya. Tutaj panuje przyroda w całym swym majestacie wdzięków, powagi i grozy, które stopniowo przejmują każdego cudzoziemca. Nieraz na przestrzeni 20-tu mil nie spotkasz chaty, widzisz tylko góry, pokryte dziewiczym bo-

rem, ocean zasiany bezludnymi wyspami i skalami. Szczęśliwyś, gdy ci płynącemu nocą przyświecają gwiazdy, gdy wicher nie dmie ponuro, ocean nie wyszczerza swych strasznych, białych kłów i nie wali z rykiem w boki statku. - Ale się i tak płynie do rana, aż o wschodzie słońca ujrzysz w ciepłych mgłach przewalające się po falach delfiny, lub w dzikich podskokach rwące się do okrętu stado rekinów.

Lecz pójdźmy na ląd, zobaczymy Masarandubę.

Ja nie wiem, czy kto obliczył, ile ta okolica ma przestrzeni. Góry na prawo, na lewo, przed tobą i za tobą, a między niemi warczą potoki, skaczą po skalach, spadają, pienią się i lecą do matki-rzeki, Itajahy assù, która ich wody odda oceanowi-ojcu. Na górach bory, a w borach pokrzykują *papugi*, ptak *guacho*, wyśpiewuje dyszkantem *tiku-tiku*, wtóruje mu *curio* lub *sabia*, nad strumieniem znowu zaczyna ciągle piosnkę swą *benti-vi* i nie kończy jej, a *ara ponga* pogwizduje! Przelatują krocie motyli i prześlicznych *kolibrów*.

Widziałem Masarandubę w dzień, w nocy i o wschodzie słońca; widziałem, jak bujał nad nią jej *gavio* (sokół) i czarny *urubù* (sęp); słyszałem wołanie puha-czów i osobliwe głosy *çapu* (żab); widziałem w nocnych cieniach miliony światel *światlików* i *latarników*; siadałem pod cieniem jej pysznój *indai* (palmy) i *kokojeri* (palmy), albo się przedzierałem przez

gąszcze *cipao* (roślina pasorzytna) i *takuare* (trzcina taka, jak bambus), tworzącej jakby tryumfalne łuki.

Nie spotkałem się na szczęście ze strasznym *jararaca* (wąż jadowity), lecz mi zachodziły drogę wielkie *jaszczury* i *węże koralowe*, a *tukao* z gniazda spoglądał na mnie ciekawie. Wyznać muszę, że zrobiło to wszystko wielkie wrażenie w mej duszy, wrażenie nie dające się zapomnieć..

Lecz człowiekiem jestem i wielbię naturę, a dla ludzi tylko mogę mieć uczucie miłości. Zobaczmy w Masarandubie ludzi, tych ludzi, co przez ocean lecieli z żonami i dziećmi, pewni, iż jak z rogu obfitości skarby tu będą czerpali.

Sześć dragów, wbitych w ziemię, nad nimi lichy dach z liści palmowych—oto barak, siedziba jakich trzydziestu rodzin, które tu sypiają, modlą się, śmieją, a najeźdźcą płaczą. Dokoła budy płoną na ziemi ogniska, a przy ogniskach w skorupach warzy się czarna fasola, zwykły posiłek tutaj ludzi najbiedniejszych.

O trzysta lub czterysta kroków dalej znowu także buda i znowu tacy sami ludzie; jeszcze buda i także ludzie. Idę i odzywam się — „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — a wszyscy ci ludzie już się zwrócili ku mnie; byli zasępieni, jacyś źli, a rozjaśnili się, podbiegają, witają. Brudne to, obdarte, sponiewierane, pokaleczone, niech Bóg broni!

Więc zwykła rozmowa, z kąd ja, a z kąd oni, każdy wymienia swą wieś, opowiada o swych losach, ubolewa, skarży się strasznie!

— Na klęczkach pójdę do mojego kraju!—woła jeden.

— Ratuj nas, panie, bośmy nieszczęśliwi!—wykrzykuje inny.

— Tu gady takie, że tego siekięram nie utnie!

— Jakieś robaki podziurawiły nam nogi!

— Patrz pan, cośmy za łazarze! Mnie Matka boska karze, żeśmy ją opuścili!

— Niema kościoła, niema nic, a cmentarz tam, gdzie kto zamrze.

Siadają pod wspaniałemi pinierami i tak płaczą, jak ów lud pod wierzbami Babilonu, płaczą tym strasznym płaczem, który co do siły bólu z żadnym innym w porównanie iść nie może...

Jest to tęsknota za ziemią, za jej wonią, jej blaskiem, które żadnemi pięknościami opłacić się nie dadzą. Opuściłem głowę, nie miałem i teraz słów pocieszenia dla nieszczęśliwych.

— Już dwadzieścia rodzin ztąd poszło borami przed siebie, gdzie oczy poniosą... I my pójdziemy!—zawołał jakiś chłop duży, barczysty, ocierając rękawem łzy, kapiące mu sznurkiem z oczu.

— Kiej sobie przypomnę nasze żyto, nasze pola, to się o mało w ziemię nie wkopie!

— I to na tych górach żyć nam każą, a gdzież tu człek strzyma?...

— W nocy jaszczurki i węże po głowach nam łożą, ani my ludzi, ani nas ludzie nie rozumieją.

— Dzieci wymierają, a nam dziwności przychodzą do głowy...

— Niedaleko od nas są na koloniach niemcy, to nas wyśmiewają, gdy się modlimy, a jak polak chce od nich kupić kilo fasoli, to musi zapłacić milrejsa i 400 rejsów (blisko 1 $\frac{1}{2}$ rubla).

W takich znękanych duszach powstają najdziwniejsze fantazyje i przyszło im do głowy, że jestem jakimś konsulem z mandatem rządowym i zrobili do mnie formalne podanie. Napróżno im przedstawiałem, iż jestem biedny literat, oni tego nie pojęli, ażeby kto dla wrażeń mógł się puszczać w taką drogę.

— Panoszk, niech nas pan pocieszy, że za rok choć, za dwa, wrócimy...

Narobili mi kłopotu, bo podejrzliwi urzędnicy krzywem okiem na mnie patrzą, a gazety Bóg wie co bredzą. Robię swoje z dobrą wiarą, mówię w oczy prawdę, wyraźnie widzę i wskazuję, że rząd brazylijski jest na fałszywej drodze, powierzając agentom dzieło kolonizacyi.

Ci ludzie nasi są uwiedzeni i zawiedzeni; należałoby ich zwrócić téj ziemi, z której ich podstępem wyrwano. W Masarandubie podczas mojej bytności

było 300 polskich emigrantów, a teraz jest ich już 900, bo nowi przybyli. Rząd brazylijski chce zrobić swoje, lecz rady temu nie da. Koloniści polscy, którzy tam od sześciu miesięcy przybyli, także już poporzucali daną sobie ziemię i poszli w świat. Wskazywano mi też jakoby ruskie kolonie, tymczasem naocznie się przekonałem, iż to są Niemcy z gubernii wołyńskiej i tylko po rusku mówić umieją.

Nowemu koloniście odznacza się w dziewiczym lesie przestrzeń 1,100 metrów długości i 250 do 275 metrów szerokości, dostaje taki od rządu motykę, graczę i siekię oraz 50 milrejsów zapomogi. Ogromne drzewa trzeba zwalić na ziemię, czekać aż przeschną i spalić potem; następnie porusza się ziemię graczą, sadi się kukurydzę, fasolę, maniokę, *inhams*, to jest kartofle dla trzody chlewniej. Na nową kolonię olbrzymie kłody drzewa leżą po 4 i 5 lat, a tylko między niemi można sadzić, zasiewać.

Dawniejsze polskie kolonie, zakładane przez wychodźców z Poznańskiego i Galicyi mają się bardzo pomyślnie rozwijać. Słyszałem kilka razy o braciach Kamińskich w Bento, o Bądarzewskim w Kurytybie (stan Parana), jako o ludziach zamożnych i doszłych do znaczenia.

Ale na własne oczy widziałem dobrze jedno: *cywilizację niemiecką w Brazylii*. Niemiec się tu wcale do warunków nie przystosowuje, przychodzi z cywilizacją swoją gotową i szepci ją, a wszystko do

siebie nagina. Jest to wielki karczownik-kolonista, zawołany kupiec, fabrykant, i gdzie co jest dobrego w Brazylii, to napewno niemieckie. A tacy są twarde, że niektórzy po 15 lat tu istnieją i tylko po niemiecku mówią.

Na drodze do Masaranduby znajduje się sklep, oberża, kolonia — wszystko razem, a należy to do Jensa Jensena, Niemca, który zbiegł z okrętu i w jednych butach przybył na kolonię; dzisiaj jest około niego 63 członków rodziny, a zamożność człowieka bardzo duża; tu się robią w tej dziurze szynki prasowane, masło i szmalce w puszkach (puszki blaszane także się robią na miejscu), idą do Rio de Janeiro i dalej, również słonina wędzona. W sklepie zaś jest wszystko, począwszy od czarnej fasoli, obić na meble, aż do elementarzy niemieckich i tablic poglądowych. Każdy z rodziny pracuje i daje rezultaty. Wyborne konie, piękne krowy, trzoda chlewna w dużej ilości, wielka przestrzeń gruntu, tartak oraz zasoby w kapitale — są to owoce 25-letniej pracy Jensa.

Zresztą całe Blumenau, wyglądające jak raj w stanie Św. Katarzyny, jest nawskroś niemieckie. Można nie mieć dla ludzi sympatii, lecz nie godzi się być niesprawiedliwym: Niemiec — to ogromna siła pracownicza na pustych przestrzeniach Brazylii. Jego dawna ojczyzna nie traci go jako syna, owszem

przez niego się rozszerza,—nowa przezeń się cywilizuje znowu.

Chłop polski w zetknięciu się w robocie kolonizacyjnej z niemcami, włochami, hiszpanami najgorzej wychodzi; już od samego początku wszystko uważa za wrogie dla siebie: klimat, ziemię, jej stworzenia i ludzi, bo skóra jego tak przyrosła do kraju, iż jej nie zdoła zrzucić z siebie — jest on tylko polskim chłopem.

Hiszpan, włoch, niemiec nigdy nie doznają zawodu; w ostatnim razie kupuje się szczotkę, pudełko szuwaksu i czyści się przechodniom buty na ulicy, a nie—to się bierze za 5 wintynów bananów i sprzedaż ich do wieczora drugie tyle zysku przyniesie; łódka nad morzem, wędka i t. d. ratuje każdego od ostatniej nędzy, tylko nie polskiego chłopca.

Wprawdzie wszystkie domy kolonistów, którzy tu niedawno przybyli, wyglądają smutnie, lecz w porównaniu z budą polskiego kolonisty najlichsza lepianka u nas jest jeszcze znakomitą mieszkaniami.

Wyobraźcie sobie słupki, a na wierzchu liście palmity, przymocowane do rzadkich lat za pomocą nitek cipao, która to roślina odgrywa tutaj rolę szpagatu, wici, powróseł: wszystko się wiąże za pomocą cipao (czytaj sipo). Dom taki nie ma żadnych ścian, a kolonista mieszka zwykle z rodziną na samej górze pod dachem, mającym tylko dwie boczne ściany.

Gospodyni, gdy ma gotować, roznieca ognisko na ziemi przed domem a pod gołem niebem.

— Byłam u siebie w kraju panią całą gębą, miałam cygan jak się patrzy, a teraz mi oto przyszło na poniewierkę — skarżyła się jedna z nich przedemną.

Trudno wymagać od chłopca, ażeby w Masarandubie oceniał piękności przyrody; on tego wcale nie spostrzega.

— Puszcza, człowiek jak na wygnaniu!

Charakter téż rolnictwa nie jest wcale w stylu naszego chłopca:

— Myśleliśwa, że będziewa orać, siać żyto, jęczmień, a tu nie, jeno majs i bone (kukurydzę i fasolę).

Niema w Brazylii miasta, ani miasteczka portowego, gdzieby się nie można było spotkać z emigrantami polskimi; wielka ich ilość ciągnie piechotą po przez lasy ponad brzegiem morza: można sobie wyobrazić, co ci ludzie przechodzą. „Byle się posunąć dalej ku północy, byle być bliżej kraju“. Zimny mąż stanu powie na to: „próżniaki!“ My nie możemy dzielić tego przekonania.

Czy rząd brazylijski zaradzi temu złu, na które przez nieostrożność swych agentów, naraził siebie i naszych emigrantów, nie wiem. Mogę jednakże śmiało twierdzić, iż zło owo jest znaczne już teraz, a będzie się jeszcze coraz zwiększało. Byłoby to zaś bardzo smutne, gdyby rzeczpospolita ujrzała się

w konieczności użycia siły. *Utinam falsus vates sim!*...

Nagromadzenie wielkiej ilości żywołów niespokojnych, bo emigrantów, niezadowolonych, bo zawiedzionych, nie może być korzystne dla państwa. Były już fakta przykre i groźne, jak wyjście 11,000 ludzi z Argentyny i przybycie do Rio de Janeiro, jeśli się nie mylę, około 5,000. Każdy się dopominał, odgrzązał, przeklinał. A były jeszcze inne fakta, świadczące o niezadowoleniu z jednej strony, a niepodobieństwie zadosyćuczynienia z drugiej.

Masaranduba, d. 1 stycznia 1891 r.

XIII.

Urzednicy kolonizacyi. — Z powrotem do Itajahy. — Wieść o losach parowca, na który oczekiwałem. — Miła perspektywa. — Niedziela. — Powrót do Desterro. — Pan delegat stanu św. Katarzyny. — Wiatr południowy — Wyjazd z Desterro. — Pięć rodzin emigrantów na okręcie. — Samoobserwacya w przykrych chwilach. — Burza mała. — Ostatni raz wracam do Itajahy w wigilię Bożego Narodzenia. — Dalsza podróż nazajutrz. — W małym porcie San Francisco. — Co powinienem był zrobić w Paranagua? — Czém się odznaczał parowiec „Alexandrya” (czytaj „Aleszandrya”? — Entuzjazm mieszkańców Paranagua i owacye dla „Alexandryi”. — I tam byli emigranci. — Większa burza, zamęt na okręcie i noc przy wysepce Avrigo.

Na obcowaniu z przepyszną przyrodą, z biednymi emigrantami i bardzo grzecznymi urzednikami szybko mi schodził czas w Masarandubie. Pan pomocnik pana szefa okazywał tyle uprzejmości, że mi wszędzie pragnął osobiście towarzyszyć, a nie — to posyłał ze mną swego młodego pomocnika. Było to już po artykułach o mnie w gazetach, po proteście

konsula, a zapewne i po jakichś także skinieniach telegraficznych z zarządu głównego.

Ja postawiłem sobie kwestyę jasno: pomocnik szefa, jako dobry i sumienny urzędnik, musi mnie pilnować, jeśli ma przekonanie, że ja tu coś psuję; ale ja znowu, jako literat i obywatel, muszę również sumiennie robić swoje.

Osobiście nie miałem i nie mam żadnego żalu do panów urzędników, owszem — poczuwam się do wdzięczności za ich dobroć i uprzejmość dla mej osoby; tylko — *amicus Plato, amicus Socrates, sed magis amica veritas.*

W Masarandubie pamiętam dobrze, że do Itajaby przybywa parowiec d. 21-go grudnia, a więc trzeba było stawić się na termin, a jeśli nie, to czekać na inny okręt do d. 2-go stycznia.

Prawie przez dwa dni byłem w Masarandubie; zobaczyłem wszystko, co mi trzeba było widzieć i wróciłem do Blumenau. Zaraz kupiłem bilet na mały parowczyk „Progreso“ i po rzece Itajaby *assù* znowu się puściłem do miasta Itajaby. Już wtedy byłem znany wszystkim, jako osoba nadzwyczajnie zagadkowa: rzucano na mnie owe ukradkowe a tak wyraziste spojrzenia, co to zdradzają utajoną na dnie duszy myśl: — „ej, bratku, ty jakiś ptaszek jesteś!“ Na okręcie, czy w mieście ludzie, zdradzali pewne wahanie, aby mi głową kiwnąć, rękę podać i t. d.

Płynąc, zatopiłem się cały w obserwowaniu brzegów rzeki; nic nawet nie notowałem teraz, ponieważ zauważyłem, że to zaciekawia ludzi i drażni.

Wieczorem przybywam do Itajahy, zapytuję znajomego gospodarza hotelu, co słyhać o mającym przybyć parowcu, a gospodarz głową kiwa, ramionami wzrusza i odpowiada mi:

— Źle! Parowiec ten gdzieś zginął. Od trzech dni niema o nim żadnych wiadomości; to tylko wiemy, że wyruszył z portu Santos, a dotąd nie przybył do Paranaguy, więc widać... *caput geworden!*

— Moje szczęście! — zawołałem zgnębiony. — Niedosyć tego, że komunikacye macie złe, jeszcze się okręty rozbijają.

— Poczekaj pan u nas do d. 27-go grudnia — rzecze gospodarz — wiem napewno, iż tu przybędzie parowiec „Rio-Negro”, który idzie prosto do Rio de Janeiro i nie robi żadnych wstępów do pobrzeżnych portów. Po co pan masz jeździć do Desterro, tracić napróżno 15 milrejsów i znowu tędy zawracać?...

Gospodarz hotelu nie wiedział tego, że ja w Desterro musiałem się zobaczyć z p. delegatem i przedstawić mu nadużycia oberżysty K., a przytém sądziłem, iż tam, jako w większym porcie, zaraz za przybyciem mogę trafić na jakiś parowiec, podążający z południa na północ; w taki sposób pomógłbym emigrantom i zyskałbym na czasie.

Nazajutrz, d 21-go grudnia, była niedziela i od

samego rana skwar nadzwyczajny. Wszystkie sklepy pozamykane, oprócz „casa de barbeiro“ (golibroda). W powietrzu wysoko, chłodząc się, latały urubu, a przez ulicę przejechał niekiedy konno lub na dwukonnój biedzie w jednego konia kolonista pod parasolem.

Anim się spodziewał, gdy o trzeciej po południu rozległ się głos, jakby trąby, dający znać, że do Itajaly przybył parowiec: był to ten sam okręt, o którym mówiono, iż się rozbił.

Z powodu święta, zaledwie się w ajencyi doprosilem o bilet, a o godzinie siódmej wieczorem byłem już w drodze do Desterro.

Podczas nocy najlepiej jest w Brazylii spać na okręcie, bo komary nie dokuczają, a i skwar na morzu nie jest tak dolegliwy, jak na lądzie. Więc też rzuciłem się na łóżko i, kolysany przez fale, przespalem całą drogę do Desterro, aż mnie o szóstej rano obudził steward, przynosząc mi do kabiny małeńką, jak skorupka orzecha włoskiego, filiżankę czarnej kawy. Właśnie wtedy wpływaliśmy do portu Desterro.

Czémprędzej wstałem, ogarnąłem się, skinąłem z pokładu na jakąś łódź i wnet byłem znowu w stolicy stanu św. Katarzyny. Zamieszkałem teraz w tym samym hotelu, w którym mieszkał także França; nie obudzilem go jednak, aż dopięro o godzinie dziewiętej. Był czegoś bardzo smutny, prawie nie nie mó-

wil; przechodziła mi przez głowę myśl, że może i on pozostaje pod wpływem czerniących mię artykułów gazeciarskich, alem téj sprawy nie poruszał. Zjedliśmy wspólnie śniadanie, poczem ja udałem się do agencji żeglugi parowej, gdzie mi oznajmiono, że do Rio de Janeiro mogę jechać dopięro d. 26-go grudnia na parostatku Lloyda brazylijskiego, lub téż dnia 24-go na tym samym parowcu, na którym przybyłem z Itajahy, a który wstąpi tylko do portu Laguna i nazad wraca. Załatwiwszy te sprawy, poszedłem do pana delegata i opowiedziałem mu szczerą prawdę, która się oczom moim przedstawiła w Itajahy, Blumenau i Masarandubie.

— Nie widziałem tam — są słowa moje — Brazylii, tylko niemców, pracujących energicznie, stwarzających swoją niemiecką cywilizację wśród dzikich borów; przytém widziałem gromadę polaków obdartych, sponiewieranych i bardzo niezadowolonych. Brazylija z tego nie będzie miała pożytku!

Pan delegat był, jak zawsze, grzeczny, uprzejmy, miał jednak w oczach coś takiego, co zdradzało jakby przymus; może nie był zadowolony z moich zezuań, a może, może...

W Desterro wiał dnia tego nadzwyczajnie silny wiatr południowy, zaledwie się można było na nogach utrzymać; wzburzone morze z taką siłą biło o brzegi, że deszcz formalny spadał na ulicach nad-

brzeźnych. Przyjrząwszy się temu zjawisku, poszedłem do hotelu, aby kompletować notaty swoje.

Czy już wówczas pilnowała mnie policya rzeczypospolitęj, tego nie wiem; ciągle byłem przecież czémś zajęty, a indywidua, które mi się nastęrczały, nie zdołały zwrócić na siebie mojej uwagi.

Jakkolwiek zabrałem z Warszawy dostateczną ilość pieniędzy, należało mi się jednak dobrze liczyć, aby nie zostać na koszu. Postanowiłem być oszczędnym i podróż z Desterro do Rio de Janeiro odbyć jako pasażer ostatniej klasy.

I tak w wigilię Bożego Narodzenia, ugoszczony po przyjacielsku przez kapitana França i odprowadzony przez niego nad morze, wsiadłem na łódź, aby się dostać do parowca, stojącego w oddaleniu na kotwicy. Oj, teraz na okręcie nie było mi dobrze! Wśród towarzyszy podróży liczyłem pięć rodzin polskich emigrantów, dwóch arabów, jadących z Montevideo, włocho, murzyna i trzech niemców.

Ziomkowie moi byli jacyś potulni, jeden z nich wyręczał posługacza okrętowego, podawał obiad, mył talerze, łyżki, szklanki, zamiatał izbę; baby miały oczy opuchłe od płaczu, a dzieci chorowały na koklusz. Wychodźcy ci emigrowali z kolonij, opłacając podróż pieniędzmi, które po części zaoszczędzili w drodze do Brazylii, a po części — jak mówili — zarobili przy budowie drogi w Masarandubie. Jechali także do Rio de Janeiro.

— Cóż tam będziecie robili?—pytałem.—Może-
by dla was lepiej było trzymać się jakiego takiego
kawalka ziemi?

— Nie, nie, niech Bóg bronil! Byliśmy już
i w stanie św. Katarzyny i w Rio Grande do Sul...
wszystko jedno: nędza i koniec! Użalaliśmy się
w urzędzie, to na nas sprowadzili wojsko; można to
było kijami potłuc, bo wojaki nikłe, takie jak koci-
ny, jeno tak wszędy żrą na Polaków, to się ludziom
nie chce już niczego... Rozeszliśmy się tyła, gdzie
kto mógł... Ale cóż, na okręty brazylijskie nawet
za pieniądze nie chcą brać Polaków, bo niby wie-
dzą, że się ucieka... Na dwóch okrętach miejsca
nam odmówili, dopiero tu ledwieśmy się dostali.

— Musicie wiedzieć przecie, po co jedziecie do
Rio de Janeiro.

— Sami nie wiewa! Bliżej ztamtąd do Polski...
Niektórzy, co nie mają za co wykupić szyfsbiletu, to
po stu i więcej na piechty idą przez bory nad brze-
giem morza.

— To oni i za trzy miesiące nie dojdą do Rio de
Janeiro.

Rozmawiam tak, wtém spostrzegam, że z boku
bardzo pilnie mię obserwuje jeden z podrzędniej-
szych urzędników okrętowych. Nie przerwałem je-
dnak rozmowy; po chwili znów, gdym stał na pokła-
dzie, oparłszy łokieć o burtę, a na łokciach głowę
i kiedym się nagle odwrócił, spostrzegłem, że oficer

okrętowy pokazywał mię palcem maszyniście, szep-
cąc mu coś do ucha. Szanowni czytelnicy, pamię-
tajcie, że trudno jest człowiekowi opowiadać o tém,
jak go ktoś przesładował. Nie choruję na męczenni-
ka, owszem, byłbym gotów widzieć męczenników—
dzieła mojej polityki. Jako „*Romanschrijftsteller*”,
mogę tylko dziękować losom, że mi nie szczędziły
przygód romantycznych. Na tym okręcie cała mniéj
więcej zaloga — o ile to byli ludzie czytujący gazy-
ty — zdawała się być podejrzliwą względem mojej
osoby: jedni mię unikali, drudzy traktowali pogar-
dliwie i to w sposób lichy. Jest to dobre i pożyte-
czne dla jednostki, bo przy takiéj wiwisekcyi czło-
wiek ma sposobność obserwować stan własnej du-
szy, może wypróbować siebie. Od czasu do czasu
drwiłem z tego otoczenia, miałem ludzi za tłum go-
dny współczucia raczêj, niż pogardy; ale przychodzi-
ły téż na mnie i chwile tchórzostwa, czegom się pó-
źniéj wstydzil przed sobą samym, powtarzając sobie
słowa moich przyjaciół: jesteś miękki, każdy cię mo-
że przepyskować. Artykuły gazeciarskie były pod-
ówezas na okręcie.

Ani ludzie, ani przyroda nie sprzyjała mi w téj
podróży. Około szóstéj po południu zerwała się bu-
rza z błyskawicami i piorunami; w niecałą godzinę
atoli przeleciała, zostawiając za sobą spienione i sza-
lejące fale.

O godzinie 8³/₄ przybyliśmy do Itajahy; ponieważ

zaś wiedziałem, że parowiec ma tu zabrać ładunek i przeto musi w porcie noc spędzić, więc wylądowałem, udając się do znanego mi już hotelu niemieckiego. Trafilem właśnie na chwilę uroczystą: w dużej sali stała choinka, suto oświetlona i przystrojona, a gospodarz rozdawał dary dzieciom oraz służącym. Zaraz mię wziął pod rękę, nazwał swoim „*landsmanem*“ z Europy i w przystępie kliwości oświadczył, że jakkolwiek w tak uroczystej chwili nikomu się w hotelu nie sprzedaje, ja jednak, europejczyk, człowiek z innej półkuli, mogę zadysponować, co mi się podoba. Podziękowałem za względy, a gdy podszedł służący, rzekłem: „*Bitte ein Schlafzimmer und Thee, viel Thee!*“

Kiedym się znalazł samotny i przy dużym czajniku z herbatą, nie mogłem się oprzeć wspomnieniom życia, związanym z wigilią Bożego Narodzenia. Myślałem o domu, o przyjaciółach warszawskich, z którymi zwykle w tym dniu od wielu lat jadano śniadanie. Podniecony tém wszystkiem, siadłem i pisałem do białego rana; może to było złudzenie, a może przypadek, iż w nocy ktoś ciągle podchodził pod moje okno.

Nazajutrz, o godzinie 11 przed południem, wypłynęliśmy z Itajahy. Na okręcie nic nie jadłem, oddawałem swe poreye dzieciom emigrantów; nawiasem mówiąc, strawa okropna. Chłopi nie spostrzegali tego, iż jestem pod jakąś szczególną obser-

wacza, więc pogarszali moją sytuację, włączając się za mną wszędzie i czyniąc mi zwierzenia, często zupełnie niepotrzebnie cichym głosem. Gdybym im zaś powiedział, o co chodzi, nie umieliby się zachować odpowiednio; zatem dźwigałem na sobie dwa brzemiona: coraz jawniej okazywaną mi pogardę i podejrzliwość brazylian oraz zaufanie emigrantów. Tych ostatnich, choć to płatni pasażerowie, traktowano o wiele gorzej niż innych, którzy za takie same pieniądze podróżowali. Taki był stan rzeczy, gdyśmy w pierwsze święto Bożego Narodzenia, już po godzinie 8-jej wieczorem, przybyli do portu San-Francisco. I tu także wyszedłem na ląd; deszcz lał, jak z cebra, a ja poszukiwałem hotelu niemieckiego. Biegając dosyć szybko, spotkałem gromadę ludzi, którzy rozmawiali głośno i po polsku. Zatrzymałem się, mimo deszczu, i spytałem:

— Zkąd wy jesteście?

— Z Polski — odpowiedzieli.

— Z których stron?

— Najwięcej nas ta ode Mławy, ale tu są i inni.

— Cóż tu robicie?

— Dzisiajewa świętowali, czego zwyczaj, a pojutrze mają nas transportować do Zionwil (Joinville), bo tam pono na koloniach ludzie sieją żyto i sadzą kartofle.

— A byliście już gdzie przedtém?

— Byliśwa, zabyłem sobie, jak się to miejsce nazywa... Maryna, nie pamiętasz ty?

— Nie wiéś? Toć w porcie Alagrze (Porto Allegre),— odrzekła baba, która niosła na plecach zawiniątko, przy piersiach—dziecko, szła boso i spodnicę miała z obu boków spiętą u bioder, jak firanki.

Zaprosilem tę gromadę na *cachas* (czytaj kaszas, wódkę) do szynku i w ten sposób obszedłem święto Bożego Narodzenia. Oni się pocieszyli i ja także.

Przenocowawszy w San Francisco, rano znowu wróciłem na okręt, który zabrał nieco ładunku, nieco pasażerów i ruszył w kierunku Paranaguy, gdzie ja, gdybym się znajdował był w innych warunkach, powinienbym wysiąść, pojechać do miasta Curitiby, stolicy stanu Parany, i zobaczyć dawne kolonie polskie. Ale to zajęłoby znowu miesiąc czasu, pociągnęłoby duże wydatki; więc pierwotnego swego planu musiałem zaniechać. Na okręcie nic się nie zmieniło na lepsze; owszem, moja ztąd reiterada co noc, niepraktykowana przez innych pasażerów, moje odstrychnięcie się od wszystkich, oprócz chłopów polskich, zdawały się podżegać niechęć ku mnie republikańskich marynarzy. W drugie święto Bożego Narodzenia, jakoś około piątój po południu, przybyliśmy do małego portu Paranagua. Nasz parowiec odznaczał się od innych tém, iż przybywając do jakiegoś portu, lub odpływając z niego, dawał szczególne hasło: wypuszczana para wygrywała bo-

wiem tony muzyczne — do, re, mi, fa, sol..., co jak sobie każdy może wyobrazić, robiło wrażenie potężnego ryku osła. Ale dumny był z tego kapitan „Alexandryi“ i cała załoga, ponieważ ów głos okrętu sprowadzał na wybrzeża wszystkich mieszkańców małych portowych miasteczek, a w Paranaguy zapal ludności doszedł do tego stopnia, że okrętowi ludność miejscowa wyprawiła nadzwyczajną owacyę. Witano nas licznymi fajerwerkami i muzyką, a okręt ciągle odpowiadał na to rykiem, który z kolei rzeczy wpływał na spotęgowanie entuzjazmu mieszkańców Paranaguy. Nie przesadzam wcale — wypuszczono parę tysięcy fajerwerków i cała ta owacya przeciągnęła się do godziny dziesiątej w nocy. Deskami połączono okręt z wybrzeżem i po tych deskach wpadała na pokład rozentuzjazmowana ludność, aby obejrzyć nadzwyczajny parowiec, przypatrzeć się jego kapitanowi. Przybyła tu i muzyka, zagrała hucznie, a gdy skończyła swoje, wystąpił jakiś mąż publiczny z Paranaguy, zrzucił płaszcz hiszpański, który nosił na jednem ramieniu, przeciągnął palcami jak zgrzeblem po sutęj czuprynie i wygłosił długą mowę, pełną gestów, patosu w głosie. Nie podchodziłem ja tam blisko, aby w chwili zapalu nie stać się przedmiotem publicznej uwagi; chciałem jednak widzieć i słyszeć-wszystko. O uszy moje obily się wyrazy mowy takie jak: „*Paranagua, patriotismo, capitano, brasileiro, Alexandria, sympatica*“.

Kapitan okrętu, mruk, i zły, jakby sobie znieawidził całą ludzkość, rozrzewnił się teraz i pozwolił wszystkim wchodzić na statek. Murzyni, murzynki, ich dzieci, tłumy jakichś łobuzów — wszystko to włożyło się do późnej nocy po różnych dziurach na okręcie. Nie wytrzymałem do końca manifestacji i drapnąłem do miasteczka, aby tam co zjeść i przemocować. Paranagua liczy niecałe 5,000 mieszkańców, ma zaś aż cztery kościoły. Z portu tego miasteczka idą w świat wielkie ładunki *matté*.

Nazajutrz, 27-go grudnia, dosyć późno bo około południa opuściliśmy Paranaguę, gdzie także spotkałem rodziny polskich emigrantów, czekających na okręt, który-by ich zawiózł do Blumenau, ponieważ „od kogoś słyszeli, że tam dla Polaków jest dobrze“.

Okolo godziny trzeciej zerwała się znowu burza i to już z nadzwyczajną siłą; fale rzucały okrętem jak piłką*). Rozległ się straszny wrzask kobiet i dzieci, które się nie mogły utrzymać nawet w łózkach. Oh, jak się ludzie boją śmierci. Zaprowadziłem rygor i zabroniłem płakać, ostro strofując matki i ojców. Na okręcie wszystko pływało w wodzie, przyczem zdarzały się różne komiczne situa-

*) Może nie powinienem zbyt szastać wyrazem *burza*, przez który marynarze oznaczają zwykle niebezpieczne dla okrętu spotkanie się dwóch wiatrów w jakiejś cieśninie.

eye. Podczas tego, gdy graty i pakunki skakały po izbie, lub się szybko przesuwały od ściany do ściany, a ludzie trzymali się poręczy, haków, aby nie upaść, naraz z kądś z pod łóżka wysunęła się drewniana klatka z dwiema małpami i uderzyła o próg drzwi tak silnie, że kilka szczebli pękło. Małpy wy dostały się na wolność, skakały po łóżkach, oknach, głowach ludzi! Ktoś odsunął szybę okna i małpy jedna za drugą, poszły hulać po linach, po maszcie Niemiec, do którego zwierzęta należały, cierpiał właśnie morską chorobę.

Na pokładzie znowu znajdowało się coś około 30-tu beczek z jajami, linami poprzywiązywanych do haków w ścianach. Ale to nic nie pomogło: beczki powypadały, a potem już do samego Rio de Janeiro ciekła z nich jajecznicą. Najwięcej ucierpiał koń, którego w klatce posyłał aptekarz z Paranaguy przyjacielowi swemu do Santos. Biedne zwierzę, przerażone hukami i powodzią fal, o mało sobie nóg nie połamało, a uległo pokaleczeniu. Był to porządny taniec; dodać należy, iż przebywaliśmy okolicy morza bardzo niebezpieczne, pełne skał podwodnych; ocean tedy wystąpił w zupełnym rynsztunku. O ile mogłem, trzymałem się już szrub, przytwierdzających okno, już różnych poręczy, aby tylko widzieć to morze sine, zapienione, rzucające się wściekle! W oddaleniu widniała naga skała, obwinięta

w fale oceanu, uwieńczona jego pianą, stała nie-
wzruszona — to Pic de Paranagua! Widać niebez-
pieczeństwo groziło, skoro około godziny 8-jej wie-
czorem okręt musiał się schronić po za małą wysepkę
Avrigo, na której znajduje się latarnia morska, i tam
noc przepędziliśmy.

XIV.

Chłopi uczą arabów po polsku. — Przybycie do Iguapé. — Obiad w hotelu. — Jasełka. — Święty w Iguapé. — Uczony golibroda. — Tutaj przynajmniej nie było polskich emigrantów. — Podróż do portu Santos. — Port i miasto Santos. — Co tu robią emigranci polscy? — Powrót do Rio de Janeiro. — Propozycja dra Clearly. — Artykuł o mnie w *Journal de Commercio*. — Jadę do Europy na parowcu „Montevideo“. — P. Luiz Guimaraes.

Dwudziestego ósmego grudnia rano morze było dobre; płynęliśmy wzdłuż wybrzeży, dających się z okrętu dosyć dokładnie obserwować: piękne to, malownicze, lecz czysta puszcza, bory i bory okiem nieprzejrzone.

Pomiędzy pasażerami panował teraz duch dobry: polacy przysiedli się do arabów i uczyli ich po polsku—można było boki zerwać od śmiechu, a jednak ta nauka miała dobrą metodę: chłop pokazywał rzecz palcem i wymawiał jój nazwisko, arab powtarzał.

— „Ooo, to się nazywa brzuch“.

Arabi wykrzykiwali: „rzu!”

Zaraz po południu dojechaliśmy do Iguapé, miejsciny, wyglądającej zdaleka pod ciężkimi dachami z palonej gliny, niby żółw ze skorupy. I tutaj parowiec brał ładunek ryżu, więc znowu przystanek. Przez jakiś czas przypatrywałem się stojącemu na kotwicy wielkiemu okrętowi żaglowemu, który się tu widać kiedyś schronił, burzą skołatany: biedny weteran pełno miał szram na sobie! Z połamanymi masztami, pozbawiony żagli, jakiś zardzewiały, zezerniały, zdawał się dumać o życiu, wśród burz przebytém; kiwał się, jakby drzemał, usypiany wspomnieniami.

Udałem się na ląd, bo mi na „Alexandryi“ ciągle było nieprzyjemnie, niedobrze...

Każda uliczka w Iguapé zaczyna się nad morzem, a koniec jęj jest w lesie; zresztą okolica bardzo malownicza. Używszy tu przechadzki, poszedłem do tak zwanego hotelu, aby zjeść obiad. Była to plugawa dziura, gdzie przy stole nakrytym brudnym obrusem, siedzieli dwaj policyanci, murzyn i Niemiec, kolonista z San-Bento; nawiasem mówiąc, ten murzyn dostarczał z Włoch emigrantów do Brazylii. Gospodarz tego zakładu, głuchy, brudny Brazylianie, w koszuli i w pantalionach tylko, usługiwał sam gościom. *Comida*, to jest pożywienie, które mi podano, było takie: zupa z czarnej fasoli, którą sobie zaprawilem na gęsto mąką manioki, i kilka

kawałków gotowanego mięsa, bardzo suto ubranego cebulą, a do tego ryż.

Po obiedzie, ja, niemiec i murzyn wyszliśmy na miasto; ponieważ kościół był otwarty i puszczano przed nim fajerwerki (zwyczaj w Brazylii, podczas mszy, niesporów i t. d.), więc poszliśmy wszyscy do świątyni owój. W kościele było bardzo mało ludzi. Zbliżyłem się do bocznego ołtarza i oglądałem jasełka, które tu widać jeszcze pozostały po Bożem Narodzeniu: Dzieciątko Jezus z porcelany na posłaniu z gąbek, malowanych zielono; Matka Boska barwnie strojna i św. Józef; poniżej—także z porcelany Napoleon I-szy w długich butach, z założonemi na piersiach rękoma dumal, oparty o skałę; nie wiem dlaczego z drugiej strony umieszczono tu figurkę jakiegoś brazylijskiego eleganta w kapeluszu cylindrowym, z laską w ręku i stojących kolnierzykach. Miał to być podobno prezydent zjednoczonych stanów Brazylii, ale brakowało w jasełkach trzeciego jeszcze króla.

Kiedym to oglądał, przystąpił do mnie młody i przystojny kleryk, zapytując po portugalsku, kto taki jestem. Mieszając francuzczyznę z portugalszczyzną, opowiedziałem na poczekaniu część historii swego pobytu w Brazylii i zjednałem sobie od razu młodego duchownego.

— Pójdź pan — rzekł do mnie — a pokażę ci patrona miasta Iguapé; polaków bardzo cenimy, gdyż

odznaczają się pobożnością i przywiązaniem do religii. Powiem panu więcęj: są to katolicy lepsi, niż sami brazylianie.

Nie chciałem sam korzystać z owęj uprzejmości i poprosilem kleryka, aby pozwolił również dwom moim towarzyszom obejrzyć świętość. Po wygodnych schodach weszliśmy na wysokość drugiego piętra, od tyłu wielkiego ołtarza. Kleryk odemknął drzwi, później odsłonił kotarę i oczom naszym przedstawił się posąg naturalnej wielkości człowieka, widziany z tyłu; święty miał na sobie bardzo bogaty, złotem przesywany płaszcz i długie, czarne włosy, zupełnie jak ludzkie, spadały mu na plecy.

— Jest u nas, w Iguapé, zwyczaj — mówił duchowny młodzieniec — że człowiek, pragnący szczęśliwie odbyć podróż na morzu lub lądzie, całuje z wiarą skraj szaty świętego i takiemu zwykle dobrze się powodzi.

Ująłem za brzeg sztywnęj materyi i do ust przyłożyłem ją bez wahania, co też za mną ze skwapliwością zrobił i murzyn; ale niemiec na chwilę się zastanowił, jednak wreszcie i on szatę pocałował. Wahanie to spostrzegł widać kleryk, gdyż potém długo mówił o takich, co wierzą, i o innych, którzy nie wierzą.

— A teraz — mówił do mnie — wejdź pan do góry po tych schodkach na prawo, zobaczysz oblicze świętego, uprzedzam atoli, że były już w Iguapé

zdarzenia, iż człowiek, niegodny oglądać tego oblicza, spadał z rusztowania na kościół.

Jakkolwiek doświadczam wielkich zawrotów głowy, spoglądając na dół z dużej wysokości, zebrałem jednak wolę, aby młodzieńcowi pokazać, że nie należę do niegodnych. Zaćmiło mi się w oczach, kiedy stanął na wąskiej kładce, nie śmiejąc spojrzeć na dół z owęj wyniosłości.

Kiedy powrócił, poszedł w moje ślady murzyn, ów handlarz emigrantów; ale ten miał twarz czarną, na której żadne wzruszenia odmalować się nie mogą. Spojrzę, a tu mój Niemiec bledziuchny i ręce mu się trzęsą; zapowiedź kleryka, iż niewierni ztąd karki łamią, wziął biedak do serca. Nakręciłem zaraz rozmowę i zachowanie się. całe tak, aby Niemca uwolnić od wchodzenia na owe schodki. Młody duchowny jednak wybadał mego towarzysza, a dowiedziawszy się, że to Niemiec i protestant, wypalił mu ostre kazanie.

— Niemcy protestanci — mówił — szydą z naszej religii, są ludźmi podłymi i jako tacy nie powinni wchodzić do katolickich świątyni.

Tak ostrzej pigułki nie mogłem już niczem osłodzić Niemcowi, który umiał po portugalsku i jeszcze lepiej odemnie zrozumiał kazanie. Niebawem też gdzieś się ulotnił. Ja miałem do końca łaski u kleryka.

— Zaprowadzę pana teraz — rzekł — do jednego włocho, który mówi dobrze po francuzku i jest bardzo wykształcony. O, od niego dużo się pan możesz dowiedzieć!

I nie czekając na moje zezwolenie, wziął mię natychmiast pod rękę, prowadził od kościoła przez rynek. Taki żywy, z gorącym temperamentem, bez czapki biegł, gestykulując nieustannie. Murzyna zgubiliśmy gdzieś pod kościołem.

Na rogu rynku i jakiejś wązkiej uliczki kleryk przystanął, wsadził głowę w otwarte okno i zaczął na cały głos wywoływać imię gospodarza. Ja tymczasem sprawdziłem, iż nad drzwiami tego domku był szyld z napisem: *Casa de barbeiro e cabeleiro*, to jest: mieszkanie takiego, co goli i strzyże. „No, Ameryka — pomyślałem — tutaj ludzie wykształceni mogą być golibrodami”.

Wtém ukazał się mężczyzna barczysty, z krótką szyją i szeroką, miłą twarzą. Przez okno odbyło się przedstawienie, poczem kleryk nas pożegnał, mówiąc, iż obecność jego jest konieczną w kościele. Przybyła i żona włocho, poprosiła mię do izby. Usiadłem, lecz, sam nie wiedząc o czém tu mówić, zacząłem słać Włochy z powodu Rafała, Dantego, Petrarki, Galileusza i t. d.

Pokazało się, że dla bardzo wykształconego cyrulika była to najzupełniej *terra incognita*. Zmieniłem szybko ów temat rozmowy na inny popular-

niejszy. Wyjechałem więc z nazwiskami: Garibaldi'go, Cavoura, Wiktora Emanuela; anim się spodziewał, że to wprawi włocha w gniew. Zaczął zaraz wymyślać na jedność Włoch, na obecną zależność Papieża. Ponieważ nie przyjechałem do Brazylii na dysputy tego rodzaju, a gdym je prowadził, to jedynie robiąc komuś towarzyskie ustępstwo, przeto pożegnałem prędko włocha i powróciłem na okręt.

Dobrzem zrobił, bo już zdejmowano kotwicę i kto wie, czy nie miano zamiaru zostawić mię w Iguapé.

— A co, nie widzieliście tutaj polskich emigrantów? — zapytałem chłopów już na pokładzie.

— W tej jednej dziurze, proszę pana, nie błakali się; ale podobno są tu gdzieś niedaleko na koloniach.

Rzeczywiście, Iguapé jest to straszna dziura! Ocean splawny zacieka tu i kończy się na Iguapé oraz na Cananei, a kto chce jechać dalej na północ ku Rio de Janeiro, musi nazad wracać do Paranaguy. Nieznośna podróż! Dnia dwudziestego dziewiątego grudnia byłem mocno cierpiący, kiedy w Cananei obarczano nasz okręt ładunkiem ryżu, kawy i kukurydzy.

Nie mogłem teraz iść na ląd, gdyż mię siły tak opuściły, że niepodobna było ustać na nogach; musiałem leżeć w łóżku, a tylko jeden z chłopów o mnie pamiętał, podając czasem szklanekę wody,

lub czarną kawę. Jak przez mgłę stawały mi przed oczyma to lasy, góry, skały i wyspy Brazylii, to znowu tłumy wynędzniałych emigrantów, biwakujących po borach, lub nad brzegami morza. Czulem omdlenie w nogach, zawrót w głowie.

Przeszło czternaście godzin płynął okręt z Cananei do Santos, gdzieśmy stanęli rano 30-go grudnia. Zwlókłem się z łóżka, dałem dzieciom emigrantów trochę drobnej monety, aby sobie kupiły pomarańcz, bananów, a sam, chwiejąc się na nogach, poszedłem obejrzeć jedno z najglówniejszych portowych miast Brazylii.

W porcie stały okręty angielskie, francuzkie, holenderskie, niemieckie; na brzegu kolej żelazna, tramwaye i liczne wozy, zaprzężnięte w muły, zabierały wory z towarami.

W Santos znajduje się bardzo dużo emigrantów polskich, takich mianowicie, co już byli we wszystkich dziurach i ostatecznie zwątpili w możność pracy na kolonii; nihy to poszukują oni roboty, a tymczasem żebrzą. Na targowisku, gdzie się sprzedają ananasy, fasola, banany, włoszczyzna i ptaki, spotkałem kobietę obszarpaną, która prowadziła za rękę dziecko trzechletnie może, drugie starsze, prawie nagie, biegło z tyłu, a wszystko to wyciągało ręce do przechodniów. W krótkiej rozmowie opowiedziała mi, że do Santos „ma przybyć okręt jeden, który zabierze polaków i wywiezie z Brazylii; *ale ta jeszcze nie przyszedł*“.

I ona i dzieci chciwemi oczyma spoglądały na ręce, które im miały rzucić jałmużnę. Później, we dwa tygodnie jakoś, gdym powracał już do Europy, niemieccy oficerowie parowca „Montevideo“ opowiadali mi, iż żebracy ci czatują w porcie na kapitanów i urzędników okrętowych, których błagają o zabranie na statek do Europy.

Poszedłem w jakąś ulicę—wszędzie pełno konsulatów, agencji żeglugi, biur telegraficznych, domów bankierskich. Wypiłem duży kieliszek koniaku, filiżankę wyborniej kawy, którą Santos głównie prowadzi handel, wypocząłem trochę w niewielkim ogrodzie publicznym i powróciłem na okręt, gdzie się znowu musiałem położyć do łóżka. Opadła mi tak a śpiączka, że przespałem kilkanaście godzin.

Cały dzień i całą noc pływaliśmy do Rio de Janeiro z Santos. Kiedyśmy wjechali nad ranem do portu, obudził mnie ów oryginalny sygnał „Alexandryi“; porwałem się czempnąć, chcąc zobaczyć, która też godzina; ale daremnie poszukiwałem kamizelki, a w niej zegarka. Narobiłem zaraz w izbie gwałtu, wezwałem gospodarza okrętu, kelnerów i zażądałem, aby o fackie kradzieży natychmiast zawiadomiono kapitana okrętu. Wszyscy poszukiwali mojej kamizelki i nareszcie znaleziono ją, a także krawat, na pokładzie za beczką z jajami.

Gdym później zrobił przegląd rzeczy, pokazało się, że nadto brakuje mi noża i woreczka z drobnymi

pieniężmi. Na śledztwo przyszedł pierwszy oficer, który mię wysłuchał tak, jak gdybym był oskarżonym raczej o jakiś występki, a nie oskarżającym. Powiedziałem mu, że ponieważ odzyskałem złoty zegarek dosyć kosztowny, przeto mniej stoję o resztę. Uśmiechnął się złośliwie i odszedł.

Miałem wprawdzie ofiarowaną sobie gościnność u pana Pinto da Rocha w Rio de Janeiro, lecz, gdy mi powiedziano, że jestem sponiewierany w gazetach i trapiący przez policję, nie chciałem nikogo narażać na jakies nieprzyjemności i znowu zamieszkałem w hotelu „*du Commerce*“.

Jeszcze tego samego dnia (1 stycznia) otrzymałem bilet d-ra Clearly, który się zgłaszał do mnie z zapytaniem od północno-amerykańskiego dziennika *New-Heralda*, czybym mu nie służył korespondencjami. Rozgłos mi więc zrobiły dzienniki brazylijskie. Naturalnie, propozycyi nie przyjąłem, ponieważ miałem zobowiązanie tylko dla *Kuryera warszawskiego* zużytkować swoje obserwacye i zebrany materiał.

Nazajutrz, 2 stycznia 1891 r., największy dziennik w Rio de Janeiro, *Journal de Comercio*, czerpiąc wzmiankę z *Gazety kolońskiej*, mówi o mnie, a raczej o mojej drugiej z rzędu korespondencji do *Kur. War.*: „*Contrastão as declarações do sr. Dygasinski com linguagem acostumada da imprensa polaca*“... (Zeznania p. Dyg. są w sprzeczności ze zwykłym językiem

prasy polskiej:) A potem: „Z wielką ciekawością oczekujemy od tegoż autora korespondencyi o emigrantach w Brazylii... To, co napisał o przyjęciu emigrantów polskich w Bremie, świadczy, iż się ten korespondent nie da sprowadzić z drogi prawdy”.

Mówiono mi, bom nie czytał, że najgwałtowniejszy przeciw mnie i *Kur. Warsz.* artykuł, na jakie 12 dni przedtém, pomieścił właśnie ten sam dziennik.

Nie myślę tu przedstawiać czytelnikom wielu różnych szczegółów doznanych przykrości; notuję fakta zupełnie pewne, mające całą rękojmię prawdy, pomijając to, co mi się mogło zdawać, lub co możnaby inaczej tłómaczyć; pomijając nawet i to, com słyszał o traktowaniu naszych emigrantów w Brazylii, a co mi się wydało nieprawdopodobne.

W niedzielę byłem zaproszony na śniadanie do p. Franklina Alvares Junior, któreśmy zjedli w jego pięknej willi za miastem, a w poniedziałek o 8-jej rano popłynąłem do stojącego w porcie parowca „Montevideo”, należącego do hambursko-południowo-amerykańskiego Towarzystwa żeglugi parowej; ten okręt właśnie najwcześniej do Europy odchodził, inne odpływały 10 i 12 stycznia.

Gdym się już znalazł tutaj, spostrzegłem wśród foteli wystawionych przed kajutą I-jej klasy, na jednym napis: „Luiz Guimaraes ministro do Brazil—Lisboa“. — „No będę miał Brazylię jeszcze do Lizbony!“ — pomyślałem.

Po dwóch dniach żeglugi, wjechaliśmy do portu Bahii, gdzieśmy nocowali. Gazety tego miasta rozpiśały się o panu Guimarães, jako o poecie i autorze licznych pereł w literaturze portugalskiej. Zachęciło mię to do zabrania znajomości i okazało się, że Guimarães przekładał z francuzczyzny na język portugalski parę utworów Mickiewicza, którego bardzo wysoko ceni, jako poetę. Nie obwijając nic w bawelnę, opowiedziałem mu ze wszelkimi szczegółami, jak się do Brazylii polaków sprowadza, i jak się ich tutaj traktuje. Był bardzo zadziwiony, a na większą część moich uwag zgadzał się zupełnie.

XV.

Brazylię opisują europejczycy. — Bogactwo przyrody. — Beja-flor. — Zimorodki. — Piguar. — Aguapé. — Frechas. — Jasminmanga i ixora (czytaj iszera). — Banan. — Pomarańcza. — Kawa. — Peri. — Ananas leśny i piri. — Motyle. — Maracuja i inga. — Palmity. — Sabia i tieu-tieu. — Capu. — Świetliki. — Bagu-assu, imba-upa, sosna brazylijska, takuare i drzewa budulcowe. — Rośliny pasorzytne. — Pospolitsze ptaki. — Jakas, saputiny, drzewo tykwowe i kamforowe. — Japuticaba. — Zwierzęta pana de Paula Ramoz. — Indyanie. — Nieprzyjaciele kolonisty. — Jaguar i węże. — Żółta febra i beri-beri.

Brazylianie nie mają ani opisów swego kraju, ani dobrych kart geograficznych; robią to za nich w Europie cudzoziemcy. Ale, przyznać trzeba, mają oni ojczyznę piękną, w całym znaczeniu tego słowa. Jakże tu bogata jest przyroda! Od barw i kształtów roślinności, cudzoziemiec oka oderwać nie może, a ucho jego napawa się nieustannie śpiewem pta-

ków i tą długą, nigdy nieustającą muzyką piewików, którą w dzień i w nocy zdaje się ze siebie wydawać uroczą ziemia Brazylii. Malownicze góry, rozkoszne doliny, bory dziewicze, rojące się życiem, — wspaniałe rzeki i strumienie, ocean, jego wyspy, piękne porty i słońce, co choć pali, tworzy arcydzieła!

Przyroda zgromadziła wszystkie najbogatsze barwy, aby w nie ubrać kwiaty, motyle i ptaki Brazylii. Nie potrzebujesz długo szukać, bo w małym ogródku przed pierwszą lepszą chatą, a nawet na podwórku, łatwo spotkać jakiego *beja-flor* (kolibra), który się cały mieni od barw, a gdy plyniesz po rzece, spotykasz olbrzymie *zimorodki*, wielkości naszych gołębi, lub stada wysmukłych, pięknych, białych czapli; czarny *piquar* nieco podobny do naszej kaczki, przygląda ci się zdziwiony i daje nurka, — już go nie zobaczysz. Na wodzie przy brzegu w wielkich kępach rośnie *aguapé*, z okrągłymi liśćmi i dużymi gronami fioletowych kwiatów, a na brzegu, jeśli niema gąszczu drzew i krzewów, to porasta *prechas*, rodzaj trzciny, wyrastającej wyżej, aniżeli u nas tak zwany koński ząb; tu i owdzie piękna płacząca wierzba o długich, drobniutkich, jasnozielonych listkach.

Czasem, opodal od brzegu, widzisz jakąś kolonię, to cały ten domek jest w kwiatkach: możesz tu

znaleść *jasmin-manga* z upajającą wonią, szkarłatną *izorę*, którą tak obsypały kwiaty, że spodnich liści prawie nie widać; zwykle zaś między niemi, jakby olbrzymi snop, rośnie *banan* z poroszczepianymi, podartymi liśćmi, z kwiatem ciemnym, zwieszonym na dół w kształcie serca, lub z gronem owoców, mogącém dobrze nakarmić pięciu ludzi. Nie brakuje też tam zwykle drzew *pomarańczowych*, i świecą się zdaleka w słońcu liście *kawy*, lub widać jej kwiat, jakby ziarna białego grochu, nawiązane na gałązki.

Jeśli się znajdujesz blisko ujścia rzeki do morza, to po brzegach pełno *peri*, to jest sitowia, z którego się wyrabiają bardzo dobre maty. Zresztą trawa w pas, zaledwie wśród niej możesz dojrzyć rogate głowy, pasącego się tu bez żadnych pasterzy bydła.

Możesz przeklinać złą drogę, straszne wertepy, jeśli odbywasz podróż na lądzie pieszo, konno lub wozem; ale nie powiesz nigdy, że to była miejscowość monotonna, nużąca oko i umysł. Po drodze pełno wszędzie czerwonych *ananasów* leśnych, pełno pięknych, wonnych białych kwiatów *piri*, przypominających nasze lilie. Przelatują wielkie, piękne motyle — jaki *Menelaus*, *Automedon*, lub błękitny *Leonte*. Na krzewy i na drzewa wspina się pasorczytna roślina *maracuja*, której owoc z powierzchni podobny do naszego jabłka; albo spotykasz

znowu drzewo *inga*, którego owoc duży, jadalny, jest strąkiem i ma barwę czarną, gdy dojrzał.

A gdzież w Brazylii brakuje *palmit*, tych wysmukłych drzew z pięknymi koronami wielkich liści u szczytu? Rosną one przed domami, po ogrodach, przy drogach, w lasach; stanowią wspaniałą ozdobę, chronią przed upałem, są drzewem opałowym, budulcowym; liśćmi dach się pokrywa, a rdzeń młodej palmy, stanowi smaczne pożywienie.

Melodyjny śpiew *sabii* można prawie zawsze słyszeć w Brazylii: jest to ptak wielkości szpaka — szary, żółty na podgardlu; sabią spotyka się po ogrodach, w lesie, wszędzie, gdzie są zarośla. Równie pospolitym ptaszkiem jest *ticu-ticu*, na którego nazwę onomatopeiczną napomina śpiew jego.

O zmroku milkną głosy ptaków, a za to odzywają się chóry żab przerozmaitych, *sapu*. I z morza i z lądu, piękna jest noc w Brazylii; dla oka charakteryzuje się przedewszystkiem światłem owadów świetlnych, których miliony zalegają całe przestrzenie. Tę fosforencją, widzianą w powietrzu, przypomina ocean, w którym co chwila widzi się punkt świetlny, rodzaj jakby morskiego latarnika.

Do drzew pięknych a pospolitych, należy także *bagu-assu* (czulek) z prześlicznym ponsowym kwiatem i *imba-upa*, mająca liście rzadkie a podobne do liści

naszego kasztana. Rzadszém drzewem jest *sosna* brazylijska (*pinhero*), która ma kształt bardzo podobny do parasola. *Takuare* jest to samo, co trzcina bambusowa, dochodzi niekiedy znacznej grubości i wysokości, a rośnie bardzo charakterystycznie, tworząc łuki. W dobrych borach spotykasz twarde budulcowe drzewa — *ariba*, *ipé*, *jacaranda*.

Ale nie się tak nie rzuca w oko w tych dziewiczych lasach, jak rośliny pasorzytne, a szczególnie dwie najpospolitsze: *Sipao* i *gravatá*. Pierwsza wpija się w pień drzewa i z nié m się niejako zupełnie zra-
sta, obwija je po linii ślimakowatej wznosząc się w górę, a poté m na dół od szczytu spada w grubszych i cieńszych sznurach; druga ma liście grube, tłuste, kwiaty piękne ponsowe, rośnie kępmi na drzewach. Pasorzyty te i inne jeszcze, wyglądające jak wielkie brody i czupryny, nieraz tak przysiadają drzewo i wyssą jego soki, iż ono w ich uściskach umiera. Można często widziéć takie trupy, na których pasorzyty przez czas jakiś jeszcze zielenieją, a poté m same umierają z głodu.

Z pomiędzy ptaków najczęściej spotykałem w lesie *papugi* i *tukany*, niekiedy ukazywał się téż przeliczny ptak błękitny, wielkości naszego gila, a zwany *sanha-su*, bardzo lubiący banany, jak mi powiadano. Głos *guacho* często w lesie sły chać, przypomina on głos naszego dzięcioła pstrego. W krzewach ponad strumieniami sły szalem nieraz przyjemny

śpiew barwnego ptaka *benti-vi*, spotykałem też wielokrotnie prześliczną *viuvinę*, ptaka aksamitno-czarnego z białą przepaską. Po domach i na targach najczęściej spotka się w klatkach: *kardynała*, *curio*, ptaka czarnego i bardzo śpiewnego, oraz *canario de terra*, niemniej — zielone *papugi* i także *papuzki*. W ogrodach ludzi zamożniejszych, widziałem zawsze wiele ciekawych dla mnie roślin, jak np. *jakas* (żakas); są to duże drzewa, na samym pniu których rosną owoce, często wielkości głowy ludzkiej, a i większe; mają one smak i zapach podobny do ananasa. *Saputiny* są to owoce drzew, podobne z postaci do kartofli, a ze smaku do brzoskwini. W ogrodach takich nietrudno też o drzewa *kamforowe*, *tykwowe*, nie mówiąc naturalnie o pomarańczach, cytrynach, laurach.

Niekiedy podają na deser owoc, zwany *japuticabą* (żaputikabą), podobny do naszych śliwek, zwanych lubaszkami. Brazylijanie bardzo to lubią, lecz wątpię, czyby smak ich podzielał który europejczyk.

Pan szef kolonizacyi, V. de Paula Ramoz, w Blumenau, jest miłośnikiem zwierząt oraz roślin, więc hoduje jedne i drugie, a jako człowiek, bardzo przyjemny, pokazywał mi piękną *jacuting'ę* (gatunek bażanta), *macuco*, coś w rodzaju wielkiej kuropatwy. Chowa się też u niego piękny *anta* (tapir), tak oswojony, że gdy go pan pociągnie za ucho, zwierzę za-

czyną swawolić. Ale nie zdradza tój skłonności trzymany w klatce prześliczny *kot dziki*, który fuka straszliwie i z pazurami skacze na szczeble klatki, ilekroć się ktoś do niego zbliża.

Chowane *małpy* i *małpeczki* nietrudno spotkać w Brazylii.

Mógłbym się tu bardzo rozpisać o faunie i florze brazylijskiej, ponieważ dużo ich okazów widziałem w czasie krótkiej swój podróży, a najwięcej w muzeum Rio de Janeiro; ale piszę tylko fejteton, sprawozdanie z 40-to dniowego pobytu w kraju, dokąd się udał tytu naszych emigrantów. Czytelnikom polskim mogę jedynie przedstawić, doznane własne wrażenia, a nie żadne studia.

Dawnych kolonistów niemieckich w stanie Ś-ěj Katarzyny zapytywałem, czy często widują *indyan*; odpowiedziano mi, że tylko w porze, kiedy dojrzewa kukurydza, wychodzą niekiedy z lasów, robią szkody w polu i znikają. Ale w stanie Parana indyane przychodzą na targi do miasta Kurytity i tam często można ich spotkać. Nie wiem, czy to jest prawda, ale kilkakrotnie słyszałem, że brazylianie z urodzenia, zarówno *fazendeiros* jak *colonos*, strzelają do indyan, jak do dzikich zwierząt, czego nie czynią europejczycy przybysze. Opowiadano mi, że w Joinville wychowywała się dziewczynka indyanka, której ojca zastrzelili na swém polu brazylianie. O ile to jest prawdą, sta-

nowi bardzo ciężkie oskarżenie. Ja raz tylko widziałem 18 letniego może indyanina, który na parowcu był posługaczem. Nieprzyjaciołmi kolonisty są przedewszystkiem *mrówki*, które nieraz na odległość tysiąca kroków, przenoszą do swego gniazda z pola jarzyny, młode liście kawy i t. d. Gniazda tych szkodników trudno odszukać, gdyż mrówki szeregami odbywają marsz podziemny i nagle ukazują się na powierzchni ziemi. Małe *papuzki*, gdzie się znajdują, sprawiają także wielkie spustoszenia w polach ryżowych. A w czasie dojrzewania kukurydzy, równie jak indyjanie, chciwe są na nią małpy. *Jaguar* (¹), jak mi opowiadano, niekiedy tylko sprawia szkody w trzodach. Do najszkodliwszych stworzeń w Brazylii zaliczyć należy jadowite *węże*; dwóch ukąszonych i wyleczonych pokazywało mi bliźny na nogach, a jeden z nich opowiadał, iż z trzema towarzyszami szedł ścieżką przez las, i, gdy już dwóch przeszło przodem, jego ostatniego napadł i ukąsił *jararaca* (*żararaka*), który jest także szkodliwy i dla zwierząt domowych.

Z pomiędzy chorób miejscowych, trapiących tu człowieka, najstraszniejszą jest *żółta febra*; na nią

(¹) *Centkowany* i rzadszy od niego *czarny*. (Prześlizchny okaz czarnego jaguara ze stanu Ś-ój Katarzyny, znajduje się w ogrodzie zoologicznym w Hamburgu).

w Brazylii zawsze umrzeć można; ale niekiedy pojawia się jako epidemia, i wtedy strasznie zmiata ludzi, jak to miało miejsce w roku 1884, gdy na ulicach Rio de Janeiro ludzie padali jak muchy. Inną, czysto brazylijską, chorobą jest *beri beri*, podczas której nogi puchną, poczem następuje paraliż i śmierć.

XVI.

Cesarz Pedro II-gi. — Niezadowolenie armii brazylijskiej. — Sprawa wyzwolenia niewolników i protest armii. — Księżniczka Izabela. — Rząd usiłuje ograniczyć wpływy armii. — Hrabia do Ouro Preto. — Gwardya narodowa i ordery. — Rewolucyjny spisek oficerów. — Benjamin Constant i Fryderyk Solon. — Prezydent Manoel Deodoro da Fonseca. — Chilijski okręt wojenny w Rio de Janeiro. — Mowa Beniamina Constant podczas uczty dla chilijczyków. — Minister wojny. — Zebranie oficerów w klubie wojskowym. — Co rząd przedsięwziął, aby osłabić załogę w Rio de Janeiro. — Jeronymo França. — W wigilię rewolucyi. — Dzień 15-ty Listopada. — Dekret detronizacyi i donacya.

Przez cały czas pobytu mego w Brazylii nie spotkałem człowieka, który-by o byłym cesarzu, Pedro II-im, wyrażał się inaczej, jak tylko z wielkim szacunkiem; ile razy zaś wziąłem gazetę do ręki, znajdowałem w niej to samo.

Nie mogło mi się więc pomieścić w głowie, że tu pozbawiono tronu monarchę tak powszechnie szanowanego, a nawet kochanego. Zdziwienie moje je-

dnego dnia wyraziłem wobec kapitana França i prosiłem go, aby mi raczył przedstawić treściwie, jak się odbyła w Brazylii zamiana monarchii na rzeczpospolitą.

— W fejletonach, które piszę dla *Kur. warsz.*, nie mogę tego pominąć—mówiłem—a przecież lepiej, gdy będąc wiadomości czerpał od pana, który brałeś udział w tej robocie, niż z innych źródeł, mogących mię w błąd wprowadzić.

P. França nie dał się długo prosić i oto przedstawiam, co mi opowiedział:

W ostatnich coś w trzech latach monarchii, armia brazylikańska nie była zadowolona z rządu, ponieważ nieustannie popełniał on błędy polityczne dowodzące braku szlachetnych uczuć patryotyzmu oraz bezinteresowności, które powinny kierować każdym człowiekiem, należącym do zarządu kraju. Panowało w armii przekonanie, że Brazylia posiada patryotów i ludzi zdolnych, ale że monarchia, jako systemat, demoralizuje politycznie każdego i uniezdalnia do prawdziwie obywatelskiej działalności. Jedną tylko armia brazylikańska nie dopuszczała do siebie owęj rządowej demoralizacyi i stanowiła otwartą opozycję względem całej działalności ministerjum.

Opozycya taka wywołała ze strony rządu przesładowanie tych wojskowych, którzy najodważniej występowali. Atoli cały zatarg uwydatnił się już jaskrawo, gdy na stół przyszła kwestya wyzwolenia

niewolników. Rząd bowiem zmuszał armię, ażeby ściagała po lasach niewolników, którzy tam poszukiwali wolności, unikając strasznych kar, wymierzanych im przez okrutnych panów. Wojsko postanowiło sprzeciwić się rozkazom rządu i odmówiło wykonywania łowów na ludzi czarnych, uważając to dzieło za niegodne obrońców ojczyzny.

Po takim proteście, wszyscy oficerowie załogi w Rio de Janeiro wystosowali adres do księżniczki Izabeli, regentki (cesarz przebywał wtedy w Europie), prosząc ją, aby nie potwierdziła rozporządzeń ministeryalnych, zmuszających armię do ścigania czarnych, po dziewiczych lasach Brazylii. Wzburzenie umysłów było powszechne i księżniczka pod tym naciskiem zrobiła ustępstwo wymaganiom armii. Nie stało się to więc tak, jak głosiła prasa europejska, przypisując księżniczce Izabeli wyzwolenie niewolników w Brazylii. Ani ona, ani ministeryum jej wcale sobie tego nie życzyli.

Tymczasem armia stanowiła ciągle opozycję, a rząd nieustannie przedsiębrał środki, aby zmniejszyć jej wpływy, ukrócić samowolne postępowanie. Tak się miały rzeczy, gdy pod koniec 1889-go r. cesarz zawezwał hr. de Ouro Preto, w celu zorganizowania nowego ministeryum, a sam postanowił d. 2-go Grudnia rzec się korony na rzecz swojej córki. Nie można było liczyć na to, że koronację ową poprze armia, ponieważ armia wielokrotnie już uja-

wniła swoje republikańskie ideje, a ludność też z nią trzymała. Hr. de Ouro Preto powziął więc myśl, ażeby zwiększyć, o ile się da, ilość gwardyi narodowej, którąby można było przeciwstawić armii, a tém samém dodać sił rządowi. Uczyniono to, ob-sypano owę gwardyę orderami i policyi dano taki sam oręż, jaki nosi armia czynna. Nigdy i nigdzie na świecie nie widziano dotąd takiej ilości rozdanych orderów, ile podówczas pojawiło się ich w Brazylii: każdego, kto chciał, dekorowano.

Teraz hr. de Ouro Preto zaczął pracować, ażeby jeszcze moralnie poniżyć armię, to jest osłabić jój wpływ na umysły publiczności i w tym celu przeprowadzał szereg oburzających prześladowań względem wojskowych, którzy się okazywali wolnomyślnymi.

Nie wyszło to rządowi bynajmniej na dobre, bo tego samego roku 1889-go, jakoś około Listopada, armia postanowiła otwarcie wystąpić nietylko już przeciw ministeryum, lecz i przeciw monarchii, tolerującej i zatwierdzającej powyżej przedstawione postępowanie. Pomiędzy oficerami zawiązał się więc spisek rewolucyjny.

Inicyatywę rewolucyi stworzył pułkownik Beniamin Constant, bardzo ceniony z powodu swój nauki, charakteru prawego i uczuć patryotycznych; on także przeprowadził organizacyę całej roboty, i ostatecznie on ją, rzec można, wykonał. Dużo też zasłu-

żył się na tém polu major, Fryderyk Solon, którego monarchia bardzo prześladowała jako republikanina.

Co się tyczy dzisiejszego prezydenta rzeczypospolitéj, Manoela Deodoro da Fonseca, ten podówczas był właśnie chory. W dniu wybuchu rowolucyi stanął on na jej czele, ponieważ Beniamin Constant, major Solon i inni oficerowie bardzo nań nalegali, aby został naczelnikiem rządu, jako generał, a przytém niezadowolniony z ministeryum. Trzeba przyznać, że generał Deodoro ani nigdy nie był republikaninem, ani dzisiaj nawet nim nie jest; on nie chciał rzeczypospolitéj, chodziło mu tylko o zwalenie ministeryum. Co więcej, generał Deodoro był przyjacielem cesarza i przez cesarza obsypanym łaskami. Mnie europejczyka ogromnie to zadziwiło, że amerykański Bayard mógł zająć miejsce na ruinach tronu swego przyjaciela, monarchy.

Ażeby teraz przedstawić szereg wypadków, które przyspieszały wybuch rewolucyi militarnej w Brazylii, musimy się cofnąć aż pod koniec Września 1889-go r. W tym właśnie czasie rząd chilijski przysłał był do Rio de Janeiro okręt wojenny dla nauki swoich marynarzy.

Ludność i rząd Brazylii usiłowały jak najlepiej przyjąć załogę tego pancernika, raz, że ludność Chili bardzo sprzyja brazylianom, następnie, iż chodziło o zatarcie w umysłach chilijezyków nieprzyjemnego

wrażenia, wywołanego przez postępowanie ministra marynarki brazylijskiej, barona de Ladairo, względem oficera Custodio de Mello, który na wojennym okręcie brazylijskim jeździł był do Chili także dla nauki. Między innymi uczniowie szkoły wojskowej w Rio de Janeiro wyprawili także ucztę chilijszkom. Uczta owa przypadła na d. 23-go Października i w gmachu szkoły wojskowej zebrało się mnóstwo krajowych znakomitości, a wśród nich znajdował się także minister wojny.

Po licznych mowach, wypowiedzianych w celu uczczenia chilijszków, powstał Benjamin Constant i, zwracając się do ministra wojny, wymierzył przeciwko niemu straszliwe oskarżenie, jako przeciw prześladowcy szlachetnych celów, ożywiających armię brazylijską. Mówił przez dobrą godzinę, a kiedy skończył, w sali rozległy się entuzjastyczne oklaski, uczniowie zaś szkoły wojskowej pochwycili wszystkie bukiety, przyozdabiające salę, i rzucili je na głowę mówcy. Minister wojny, dr. Candido de Oliveira, osłupiał i nie odpowiedział. Był to fakt doniosły, który wyraźnie zaznaczył stanowisko armii wobec rządu. Nazajutrz i przez parę dni bezpośrednio następujących rząd chciał przedsięwziąć środki ukarania p. Beniamina Constant, ale się zawahał, zważywszy wielką popularność człowieka i miłość, okazywaną mu przez młodzież.

Swoją drogą znowu oficerowie i uczniowie szkoły

wojskowej gromadnie oświadczyli Beniaminowi Constant, iż we wszystkiem, cokolwiek on przedsięwzięciu przeciw rządowi, będą go popierali, choćby krew przyszło przelać.

Nareszcie do ostatecznego wybuchu tej rewolucyi militarnej przyczyniło się bardzo zebranie oficerów Rio de Janeiro d. 9-go Listopada w klubie wojskowym. Tutaj wszyscy oficerowie zgadzali się z Beniaminem Constant, iż w Brazylii należy zaprowadzić rzeczpospolitą i prosili go, ażeby stanął na ich czele i przedstawił plan działania. Wtedy zażądał on ośm dni czasu, potrzebnego na rozwiązanie zadania; miał zaś zamiar w ciągu tych ośmiu dni porozumieć się osobiście z członkami obecnego rządu i przekonać ich, że dotychczasowa polityka, mianowicie też prześladowanie armii, jest zgubna. Atoli ministrowie byli zbyt dumni ze swęj działalności politycznej i Beniamin Constant rychło już rzekł się traktowania z nimi.

W tym właśnie czasie rząd, ażeby osłabić załogę w Rio de Janeiro, postanowił usunąć ztąd niektóre pułki. Dnia 16-go Listopada już 22-gi pułk piechoty otrzymał rozkaz udania się na północ Brazylii. Rzecz prosta, iż rozproszenie sił wojskowych stanowiło skuteczny środek zażegnania burzy rewolucyi. Wobec tego Jeronimo França, podówczas porucznik, zwołał tajemny meeting oficerów w celu zwrócenia uwagi na postępowanie rządu i tęp samę przy-

śpieszenia wypadków. Zebranie odbyło się nocą 13-go Listopada w pułkowych koszarach; França wymownie przedstawił tutaj zamiary rządu, oświadczając swoim kolegom, iż należy działać pośpiesznie i natychmiast, iż rzeczywiście w zupełnie naturalnym biegu rzeczy nadeszła chwila wybuchu rewolucyi, a jeśli się ją odwlecze, wtedy wszystko stracone.

W zapale posunął on się tak daleko, że, pragnąc pozyskać słuchaczy, wyjawiał im, iż plan rewolucyi jest już gotowy. „Panowie”—mówił—„moje zdanie jest takie, że, jeżeli w ciągu trzydziestu sześciu godzin nie zrobimy nic stanowczego, zgubimy sprawę!”

Znalazł się ktoś, jak to zwykle bywa w takich razach, i o całym owym zebraniu doniósł rządowi, kładąc szczególny nacisk na termin trzydziestu sześciu godzin. To też rząd zaraz nazajutrz (14-go Listopada) postanowił aresztować wszystkich przywódców, kierowników, ruchu, co miało nastąpić wieczorem.

Major Solon znowu, dowiedziawszy się o szczegółach meetingu oficerów, powziął myśl jak największego przyspieszenia wypadków i w tym celu, wyszedłszy na miasto, opowiadał każdemu ze spotkanych oficerów, że policya otrzymała od rządu rozkaz uwięzienia generała Deodoro, pułkownika Beniamina Constant i różnych innych.

Pod wieczór, około szóstej, gdy się França poja-

wił w koszarach swego pułku, przystąpił do niego jeden z oficerów, odradzając mu wejścia do koszar, ponieważ, jak powiadano, wyszedł rozkaz rządowy uwięzienia porucznika. A tak, nie mówiono o niczem innem, tylko o konieczności wybuchu rewolucyi i o wydanych do policyi rozkazach aresztowania.

Tego samego wieczora porucznik uważał sobie za obowiązek iść do generała Deodoro i opowiedzieć mu, że na wczorajszym meetingu oficerskim zaszyły bardzo poważne postanowienia i rząd dowiedział się o tém wszystkiem; zachodzi przeto potrzeba pośpiesznego działania, inaczey zgubi się całą sprawę.

Generał Deodoro, który był chory, odrzekł na to: „Lepiej nie nie robić, to wszystko jest dzieciństwo. Zachowajmy się spokojnie!”

Wtedy porucznik odrzekł, iż przeciwnie—rzecz jest bardzo poważna, a jeśli ją generał inaczey uważa, to dla tego chyba, że nie wie o istniejących przygotowaniach. „Hrabia de Ouro Predo—mówił França—nie pozwoli nam zachowywać się spokojnie, choćbyśmy tego chcieli; wszystko jest odkryte, trzeba się więc zdecydować na wystąpienie z orężem w rękę!”

Następnie França przedstawił generalowi, że wszystkie pulki w Rio de Janeiro należą do spisku, a w części także policya i gwardya narodowa. Oprócz tego, przekonywał go, że dwie szkoły wojskowe są również duchem rewolucyi przejęte i odegra-

ją prawdopodobnie dużą rolę w dziele przewrotu, ponieważ młodzież jest pełna entuzjazmu i ożywia ją uczucie patryotyzmu. Wszystkie te przedstawienia wywarły dobry skutek, gdyż generał polecił porucznikowi França ponieść natychmiast rozkazy do całej armii w Rio de Janeiro.

Cała noc zeszła na komunikowaniu owych rozkazów. Rano, 15-go Listopada, wojsko już obległo skład ministerjum w biurze ministra wojny. Niebawem też ukazał się w tém biurze generał Deodoro i rozkazał ministrom, aby opuścili miejsce urzędowania, jako pozbawieni władzy rządu.

Jeszcze tego samego dnia ogłoszono rzeczpospolitą. Generał Deodoro nie chciał tego uczynić, gdyż jemu chodziło tylko o rozwiązanie ministerjum; zmusili go jednak do tego Solon i Benjamin Constant.

França otrzymał publiczne podziękowanie za to, iż przez zwołanie meetingu oficerskiego w d. 13-ym Listopada szczęśliwie przyspieszył wybuch rewolucyi. W trzy dni zaś po ogłoszeniu rzeczypospolitej dao polecenie, aby cesarzowi, uwięzionemu w swoim pałacu, wręczył dekret, pozbawiający go władzy monarszej, a jednocześnie wyznaczający mu donacyę w ilości 12,500,000 franków.

— Rząd polecił mi doręczyć waszej cesarskiej mości ten dekret — rzekł França, zbliżając się do cesarza, który właśnie schodził ze schodów swego pałacu.

— Kto taki?— spytał Pedro II z naciskiem.

— Rząd!— odrzekł porucznik.

— Co to za dekret?

— Jest-to zapewnienie przyszłości dla rodziny waszój cesarskiej mości.

— Ah, rodziny!... — rzekł cesarz, przyjmując papier i lekko wtedy pochyliła mu się głowa.

XVII.

Uwagi. — Gdzie szukać podstawy dla faktu emigracyi? — Odezwy i agenci. — Santos. — Pośrednicy. — Tłómacze i pisarze listów. — Jacy emigrują najpierwsi? — Miejscowe warunki i umysłowy stan chłopca. — Obietnice. — Nieszczęście społeczne i nieszczęście wychodźców. — Jakie warunki chłopci znajdują w Brazylii? — Kolonizacya na papierze. — Prawo wyboru, przysługujące emigrantowi. — Niemiec kolonista w Brazylii. — Polak i inne narodowości. — Brak solidarności u polskich chłopów. — Co przynosi do Brazylii polski emigrant? — Rząd brazylijski i brazylianie. — W Bremie i na okręcie, a w Brazylii.

Ponieważ zebrałem pewną ilość spostrzeżeń, które czytelnikom *Kurjera Warszawskiego* przedstawiłem już to w poprzednich korespondencyach, już znowu obecnie w fejtynie, pozostaje więc jeszcze poczynić ogólne uwagi nad emigracją naszego ludu z rodzinnego kraju i nad jego kolonizacją w Brazylii.

Nie należy mniemać, że wychodźstwo chłopów polskich zawisło od wielkiej ilości agentów obcych, którzy wsie obiegają i, stykając się z ludnością bez-

pośrednio, wywabiają ją za granicę kraju drogą ustnych obietnic. Podstawy dla faktu emigracyi trzeba szukać przedewszystkiem w psychologii człowieka, który na ziemi pragnie znaleźć dla siebie niebo, a gdy nie posiada dostatecznego umysłowego przygotowania, aby nadzieje i zachcianki swoje należycie skrytykował, wówczas wyobraźnia jego potrzebuje maleńkiej tylko podniety; unosi go w światy dalekie od rzeczywistości i skłania do poszukiwania tych światów.

Nasz lud nie posiada prawie żadnej oświaty, lada kto może go durzyć; wystarcza, ażeby do jednej wsi w każdym powiecie przybyła w kopercie z zagranicy jakaś drukowana odezwa, bodaj nawet przez nikogo niepodpisana, pełna różowych nadziei i obietnic, a już w przeciągu jakich dziesięciu dni, drogą jarmarcznych, odpustowych zebrań, wieść ta obiegnie po całym terytorjum.

Właśnie takie odezwy przychodziły do kraju w roku przeszłym, a ich treść stanowiła przedmiot ciągłych gawęd wśród mas ludowych. Nie przeczę, że roznościcielami byli i agenci, bo mam dowody, iż byli; ale tych agentów było *bardzo* mało i dlatego ani policya, ani nikt mający w tém interes, nie mógł się z nimi zetknąć. Agent pojawia się nietylko dla ustnej propagandy, ile dla zebrania adresów i zbadania usposobienia do ruchu emigracyjnego.

Głównie działał tu list drukowany, pełen obie-

tnie, a wolny od wszelkich objaśnień i komentarzy. Jeszcze w Brazylii listy owe mieli chłopci w zanzardzu przy sobie.

Działając w myśl polityki swego rządu i ciągnąc ztąd zapewne znaczne korzyści osobiste, najwięcej listów takich rozpuścił niejaki pan Santos, generalny konsul rzeczypospolitej brazylijskiej w Lizbonie. Jest to hurtowny dostawca ludzkiego towaru do Brazylii! Ponieważ zaś zażądanie tego towaru jest bardzo duże, bo ogromne puszczę trzeba zapełnić ludźmi, powstał więc liczni pośrednicy, którzy również nie działają bezinteresownie. Trzeba przewozić emigrantów, a jeśli są bardzo biedni, to i przyodziać jako-tako, nakarmić—słowem, trzeba dogodzić stronie kontraktującej i skonstruktowanej. Opłaca się to sówicie, gdyż pośrednicy, ułatwiający wychodźtvo, ciągną korzyści różnemi sposobami zarówno od emigrantów, jak i ze skarbu rzeczypospolitej brazylijskiej, która na swój koszt sprowadza wychodźców.

Lud polski jest najpodatniczszy do uwierzenia kłamliwym obietnicom, spotkało nas przeto szczęście, że wszelkiego rodzaju agenci — główni i podrzędni — zwrócili na nas swoją szczególną uwagę. Niestety, nie doznali zawodu!

Niemieckie odezwy Santosa wywołały ruch szalony.

Od czasu do czasu agent jakiś zawadził o jedną, drugą gminę, zostawiając po sobie tylko ślad w for-

mie owego manifestu Santosa, po niemiecku stylizowanego. Reszta robiła się już sama: chłopci zawsze znajdowali tłumacza i usłużnego doradcę, który sam nic o Brazylii nie wiedział, jednak do emigracji zachęcał, bo miał z tego dochód: każdy osobiście zgłaszał się po radę dla siebie.

Stykałem się z setkami i tysiącami emigrantów; wielu miało odezwy Santosa, a nawet jego listy; ale nie spotkałem ani jednego, który-by z agentem jakim osobiście rozmawiał: bliższą poradę znajdował zawsze w pobliskim miasteczku u pisarza pokątnego.

Chłop, który pod swoim własnym adresem otrzymywał odpowiedź z Lizbony od Santosa, robił dzieło emigracji ogromny rozgłos. Ale kto chłopom listy do Santosa pisuje, kto odpowiedzi na nie tłumaczy? Emigranci odpowiadali mi zawsze:

— Jeden taki pan w Rypinie, Drobinie, Mławie, Nieszawie, Białymstoku i t. d.

Ludzie przedsiębiorczy, nieogłędni a wrażliwi, poszli pierwsi i przykład ich podziałał zaraźliwie. W ślad za nimi pośpieszyli próżniacy, wyobrażający sobie, że jest gdzieś na świecie kraj, gdzie można wygodnie żyć bez pracy. Jeszcze inną pobudkę stanowiła chciwość na ziemię.

— Tam dają tyle gruntu, ile kto zechce, — powtarzano mi w Bremie na wszystkie strony.

— A rodzi się wszystko, co zasiać!

Tak mówili, bo to im obiecywał manifest Santosa, który nie zapomniał nawet nadmienić, ile się produkuje okowity w kraju obiecany; przecież i to stanowi podniecie do emigracyi.

Do owych czynników przyłączyły się inne jeszcze — zewnętrzne. Chłopi bezrolni muszą u nas bardzo ciężko pracować, a pobierają tak małe wynagrodzenie za pracę, że zaledwie wyżyć mogą; otóż, do takich mianowicie uśmiecha się piękna nadzieja dojścia w łatwy sposób do kawałka własnej ziemi i zostania panami z wyrobników.

Żadna wiedza nie oświecła tych ludzi, a rady udzielane im w kraju, przyjmują oni z niedowierzaniem, z podejrzliwością. Co to jest inny klimat, co znaczą inne warunki życia, inna gleba i jej plody, jaka jest odległość, dzieląca kraj nasz od Brazylii, o tém przecież chłop polski nie może mieć najmniejszego pojęcia. Ale ten brak wiedzy u chłopca najzupełniej nam wystarcza, abyśmy sobie wytłómaczyli nadzwyczajną łatwość, z jaką niejeden emigrant, obarczony liczną rodziną, porzuca kraj i puszcza się w podróż.

— Komu to mogło nawet przyjść do głowy, że pojedzievia przez tylośną wodę...

Podróż za nich płacono, życie im dawano darmo, przyobiecano dużo gruntu i zapomogę na gospodarstwo. Czegoż więc potrzebna? Na widok takich sutyh darów opuścila chłopa owa podejrzliwość, któ-

raę on się zwykle posługuje w kraju w stosunkach swych ze szlachtą. Zaufał, bo nie przypuszczał, aby jakiś daleki rząd miał interes robienia mu zawodu,— bo nie przypuszczał i tego, aby w razie niepowodzenia, odwrót z Brazylii był niepodobieństwem; wszakże odezwa Santosa opiewała, że kto zechce, będzie mógł do kraju wrócić, nie uiszczając bynajmniej rządowi brazylijskiemu wyłożonych kosztów.

A tak, wszystko nieszczęśliwie składało się na to, aby społeczeństwo nasze w ubytku sił ludzkich poniosło klęskę, wyrównywającą epidemii.

Pamiętajmy atoli, że jeśli ucierpiało społeczeństwo, to cierpi także strasznie ten rodak nasz, gorzko zawiedziony wychodźca! Trzeba mu przebaczyć, bo jest niewinny prawie, a bardzo nieszczęśliwy. Wszystkie cierpienia ludzkie spadły na niego: fizyczne i moralne. Trapi go głód, nie ma czem ciała przyodziać, ani dachu nad głową; trapią go choroby, kalectwa różne; musi patrzeć, jak mu dzieci umierają jedno po drugim; żyje pod strasznie piekącym słońcem, wśród ludzi obcych, nie rozumiejąc ich języka, ani obyczajów.

Własnego kraju nie opuszcza się bezkarnie: tułacz, całym sercem tęskni za swoimi, za całą atmosferą rodzinną ziemi, w której jednej tylko może być człowiekowi dobrze. Każde stworzenie żywe przechodzi chorobę przystosowania się do nowych warunków życia, chorobę tym cięższą, tym niebezpie-

czniejszą, im bardziej nowe warunki różnią się od dawnych. U człowieka w tym cierpieniu schodzą się bóle fizyczne z moralnemi. Ileż-by dał niejeden taki wychodźca za to, aby mógł ujrzeć swoją wieś rodzinną, zobaczyć sąsiadów, posłyszeć dokoła siebie brzmiającą mowę ojczystą! Z płaczem mówili nieraz do mnie:

— Całe życie będę się darmo wysługiwał, będę żył o chlebie i o wodzie, a niech do Polski wrócę!

Kto nie doświadczał strasznych cierpień tęsknoty za krajem rodzinnym, tęsknoty niczém nieukojonój, ten nie zrozumie tego uczucia.

Człowiek wykształcony jest zawsze do pewnego stopnia kosmopolitą, zajmują go coraz nowe wrażenia, których dostarczają ludzie i przyroda; ale prostak, chłop nie szuka tego. On w ziemię swoją wrósł jak drzewo i z tój ziemi wyrwany, musi cierpieć. Tutaj skwar słoneczny piecze, przy pracy trudno w nim wytrwać; krajowcy zleniwili na tych spiekach i nie lubią pracować: mają dostatek ryb, bananów i innych owoców, więc, gnuśniejąc, tём żyją.

Ale chłop nasz przybył tutaj dla pracy na roli; myślał, że znowu pójdzie od rana za plugiem, że będzie siał żyto, sadił kartofle, hodował bydłeta i miał swoją chatę. Jakże się zawiódł!

Rząd brazyliński ma zapewne dobre chęci, robi dla emigrantów, co może; ale on nie ma organizacyi; są tu urzędnicy, brakuje ludzi serca, energii, chara-

kteru, bez czego żadne działanie polityczne udać się nie może. W Brazylii robią kolonizację na papierze, wszyscy piszą, aż złość bierze na tę bazgraninę. Jeden człowiek z duszą, jak się należy, zrobił-by w sprawie kolonizacji więcej, niż tłumy owych pi-smaków. Tu trzeba z nieszczęśliwymi czuć, trzeba im otuchy dodać, a oni piszą, przesyłają sobie ładne raporty i są zadowoleni. Moi panowie, na papierze wszystko dobrze wygląda; ale przybywają gromady obdartych, głodnych i zawiedzionych biedaków, a wy im miesiącami w budach nędznych każecie przebywać! Nawet gruntów niema poodmierzanych, a jak się je odmierzać zacznie, to znowu upłyną długie miesiące.

Ale ile w całej tej biurokracyi jest śmieszności!

Każdemu emigrantowi służy np. prawo, aby sobie sam wybrał stan i okolicę, w której osiąść pragnie; tymczasem każdy nasz chłop ma o stanach Brazylii takie samo pojęcie, jak urzędnicy brazylikańscy o naszych guberniach i powiatach.

To prawo wyboru przypomina owego nauczyciela, który mówił do swych uczniów: „Jeżeli się nie możecie zorientować np. w lesie co do stron świata, to się obróćcie tyłem na północ, a przodem ku południowi i t. d.”

Zupełnie co innego, gdy do Brazylii przybywają na kolonie niemcy: tym nic nie obiecywano, nie durzono ich; przybywają z własnej chęci, niczego się

nie spodziewają, mają jakie-takie środki, a nade wszystko przynoszą ze sobą cywilizację, którą w Brazylii dalej tylko prowadzą. Siadają na gruncie kupą, pracują, mówią tylko po niemiecku i w Brazylii zakładają sobie ojczyznę, jako naród cywilizacyjnie wyższy od brazylian, czego o polakach, niestety, powiedzieć nie mogą. Wprawdzie chłop polscy w porównaniu z brazylianami są i uczciwsi, i pracowitsi, jednak uczciwość nie zawsze zwycięża, a praca potrzebuje do pomocy inteligencji. Brazylianin, hiszpan, włoch, jeśli mu praca na roli nie posłuży, zostaje kelnerem, bierze na kredyt banany za kilka wintynów i sprzedaje, kupuje parę szcetek i czyści na ulicy buty przechodniom, sprzedaje gazety i ma utrzymanie; chłop polski tego nie potrafi żadną miarą: on jest tylko rolnikiem; prócz tego, może drzewo rąbać, być furmanem, pastuchem do bydła.

Polski chłop w Brazylii musi się do warunków stosować lub zginać; niemiec warunki te, o ile tylko się dadzą, do siebie stosuje. W Brazylii widzi się Niemców z ich białą kawą, piwem, pantoflami, oleodrukami, portretami Bismarka, długimi fajkami, harmonijkami, *Gartenlaube*, *Ueber Land und Meer* i t. d. Polska w Brazylii odrazu znika.

W polskich chłopach na obczyźnie niema i solidarności narodowej—najwyżej rodzinna i parafialna; każda gromada od chwili przybycia tutaj rozбивa się

na coraz to mniejsze gromadki, podczas gdy niemcy idą lawą i skupiają się w jednym stanie.

Emigrant polski przynosi do Brazylii tylko siebie samego, mało więcej niż siłę roboczą; cała jego polskość zasadza się na tém, że ma w fizyognomii pewien typ odrębny, w postępowaniu odrębny obyczaj, że mówi po polsku i jest katolikiem. Ale obyczaju przestrzegać nie może i musi się do innego stosować, a ze samym polskim językiem rady sobie nie da pomiędzy Niemcami, — musi się uczyć po niemiecku, gdyż Niemcy mogą się nie uczyć po polsku i z tém im dobrze. Chłopu na złe wychodzi i to, gdy gorliwie przestrzega przepisów religii, bo święcąc niedziele i święta, zaniedbuje się w pracy i o jakie sto dni rocznie jest niżej od Niemca.

Ale co tu mówić, rozprawiać, dowodzić, kiedy najlepiej mówią fakty, a faktem jest, że mi żaden Brazylianie nie pokaże wśród całej masy polskich emigrantów jednego człowieka, który by z losu swego był bodaj względnie zadowolony. Ja ze swęj strony dodam, że widziałem w Brazylii bardzo dużo naszych chłopów, mających się wykierować na Brazylijskich obywateli, a każdy z tych ludzi miał głębokie przekonanie, iż rząd Rzeczypospolitej Brazylii dopuścił się względem niego *oszustwa*.

Zapewne, że najenergiczniejsi z pomiędzy wychodźców, jeśli już wszystko przeżyją i przeniosą, dojdą w Brazylii do jakiego-takiego bytu; ale w kra-

ju swoim przy mniejszych nawet usiłowaniach osiągnęli-by to samo.

Podobno niema na świecie narodu, który-by grzechu Kaina nie nosił na sobie; ale na każdy naród przychodzi pora cywilizacyjna taka, w której wytworzona suma dóbr moralnych jest zupełném zadośćuczynieniem za stare grzechy i ludzkość nie ponosi uszczerbku.

Na brazylian pora ta widać nie przyszła; mało im tego, że wytępilli krajową rasę, że następnie murzyn jeszcze bliźni swoich nie wygoił po niedawniej, sromotnej niewoli; teraz oto kozłem ofiarnym jest chłop polski, podstępnie zdradzony!... Tylko formy są cokolwiek inne, rzecz zostaje ta sama.

Chłop nasz, zwabiony tutaj nadzwyczajnemi obietnicami, z powodu swój nędzy, żadną miarą już powrócić do kraju nie może: jest to niewolnik, który ostatecznie, jeżeli nie zginie, pójdzie w służbę plantatorów i zastąpi wyzwolonego murzyna.

Tylko formy się zmieniły: dawniej można było otwarcie, jawnie kupić człowieka na targu, teraz się go podstępnie nabywa i stawia w warunkach tak strasznój konieczności, że nawet ten biedny nasz chłop, do którego się w kraju szczęście przecież nigdy zbyt nie uśmiechało, musi teraz załamać ręce i oddać się ostateńej rozpaczcy.

— Jedno mię bardzo zadziwia — mówiłem do pewnego urzędnika kolonizacyi — ci ludzie w Bre-

mie i na okręcie podczas podróży śpiewali, tańczyli jeszcze, bawili się wesoło, a teraz są tacy posępni, smutni, patrzą tak ponuro... Tylko człowiek nieszczęśliwy, albo trapiiony wyrzutami sumienia zbrodniarz może być do nich z fizyognomii podobny!

— Gdy zaczną codziennie pracować, zmieni się ich usposobienie, będą szczęśliwi — otrzymałem odpowiedź.

Roześmiałem się gorzko, bo myślałem sobie, że w takim razie talizman szczęścia muszą posiadać pracowite woły, które, będąc karmione słomą, a pobudzane do pracy kijem, codziennie spełniają ciężkie swe powinności na roli; po chwili więc odrzekłem:

— Tylko ta praca uszczęśliwia człowieka, którą on przedsięwzięje z własnej woli, bez musu.

O, brazylianie, przestańcie świat uszczęśliwiać, dając mu pracę! Bądźcie nią sami szczęśliwi!

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

KURJER WARSZAWSKI

1000000000076

NAJTAŃSZE PISMO POLSKIE

Wychodzi w dni powszednie wieczorem, w niedziele i święta rano, a nadto stale w dni powszednie, z wyjątkiem dni poświęconych wychodzą dodatki poranne.

Rok 71-szy wydawnictwa.

PRENUMERATA

Kurjera Warszawskiego wraz z dodatkiem porannym:

W Warszawie: rocznie rs. 9, półrocznie rs. 4 kop. 50, kwartalnie rs. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75.

Za odnośzenie do domu dopłaca się miesięcznie kop. 5.

Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3, miesięcznie rs. 1.

Za granicą: miesięcznie rs. 1 kop. 50.

Numer pojedynczy bez dodatku kop. 5 dodatek poranny kop. 3.

Adres: Plac Teatralny, 9.

Adres dla depesz: Warszawa „WarszKurjer“

Telefony: Redakcji Nr. 208, Redaktera Nr. 181, Administracji Nr. 517.

OGŁOSZENIA

Reklamy: za jeden wiersz garmontowy albo jego miejsce pierwszy raz 25 kop., każdy następny raz kop. 20

Nekrologja: za wiersz 15 k.

Zwyczajne ogłoszenia: za jeden wiersz portowy albo jego miejsce, pierwszy raz 10 kop. każdy następny raz 8 kop.

Małe ogłoszenia za jeden wiersz po 2 kop. każdy raz; ogłoszenie minimum 20 kop.

Nadesłane: za jeden wiersz garmontowy rs. 1.

Ogłoszenia do *Kurjera* przyjmuje także Biuro Rajchmana i Frenclera ulica Senatorska.

W marcu 1891 r. w odcinku *Kurjera Warszawskiego* rozpoczął się druk powieści

ADOLFA DYGAŚIŃSKIEGO

p. t. **NA ZŁAMANIE KARKU.**

opartej na tle stosunków emigracji Brazylijskiej.